AS



Nr. 4.

[illegible]6 STYCZNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

Wyznanie na balu...
Binnie Barnes
z „Uniwersal Pictures"

CIEKAWE DROBIAZGI



PREZYDENT U. S. A. STRAŻAKIEM.

Znany światu demokratyzm amerykański odbija się przedewszystkiem w życiu oficjalnem tego kraju, wciskając się również do życia prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dosyć przypomnieć oryginalny zwyczaj noworoczny, polegający na tem, że prezydent ściska dłonie nietylko setek, ale tysięcy obywateli U. S. A., pzechodząc następnie kurację sfatygowanej prawicy. Oto widzimy na naszem zdjęciu jeden z takich demokratycznych zwyczajów: prezydent Roosevelt otrzymuje od reprezentanta ochotniczej straży ogniowej Hyde Park (Nowy Jork) odznakę za 25-letnie członkostwo. Aby zadośćuczynić zwyczajom, włożył również hełm strażacki i przyjmuje oryginalne odznaczenie ze szczerym uśmiechem.

TAMA-OLBRZYM.

Poniżej zamieszczone zdjęcie przedstawia olbrzymią tamę Boulder o szerokości 709 stóp, zbudowaną na nadwyraz rwącej rzece Colorado. Koszt budowy wyniósł przeszło 100 miljonów złotych, a tama tworzy sztuczne jezioro, z którego woda rozprowadzana jest w promieniu 250 mil.



TANIEC LUDOŻERCÓW.

Pomimo, iż uczeni podróżnicy poczynili olbrzymią ilość ciekawych odkryć, zawsze jeszcze znajdzie się zakątek dzikiego lądu, nikomu dotychczas nieznanego. Tak oto niedawno temu odkryto na wyspach Palmowych, w pobliżu Australji, dzikie szczepy ludożerców, które odznaczają się nadwyraz niskim stopniem kultury, jak również oryginalnemi tańcami, a nadewszystko oryginalną fryzurą. Jak widzimy na naszem zdjęciu eleganci z wysp Palmowych mają dosyć niezwykłe pomysły w zakresie przybrania głowy.



GEREZY ABISYŃSKIE



Piękne te małpy o czarno-białem lśniącem futrze, należą do charakterystycznych przedstawicieli zwierzęcego świata Abisynji. Futrami tych małp pokrywa ją Abisyńczycy swe tarcze, a cieszyły się one swego czasu dużem powodzeniem i w Europie, używane zwłaszcza do wyrobów mufek.



Przeciwko bólom

Aspirina, wyrabiana teraz w Polsce. Znaczek „Bayer" w postaci krzyża na opakowaniach i tabletkach daje gwarancje czystości preparatu.

ASPIRINA BAYER

Do nabycia we wszystkich aptekach
CENA za 6 tabletek obecnie już tylko Zł. 0·90, za 20 tabl. Zł. 2·25



ORYGINALNY ZWYCZAJ.

Belgja, która swe istnienie zawdzięcza w głównej mierze Anglji, posiada podobnie jak ona ogromne poszanowanie dla tradycji. — Prowincja belgijska zachowała do dnia dzisiejszego bardzo oryginalne obyczaje, które w wieku samolotu i radja wyglądają bardzo zabawnie.

Jednym z najciekawszych obyczajów Belgji jest bezsprzecznie ten, który obchodzi miasto Grammont, położone we Flandrji i liczące dwadzieścia kilka tysięcy meszkańców. Tradycja, przestrzegana tam od wielu wieków, wymaga, iż w dniu 24 stycznia, przedstawiciele miasta muszą się udać na górę, w pobliżu miasta i po wejściu na jej wierzchołek wypić ogromny puhar wina.

Rzecz oczywista, iż na pierwszy rzut oka zwyczaj ten nie posiada w sobie nic nadzwyczajnego. W puharze jednak znajdują się... małe żywe rybki!

Zarząd miasta Grammont, który w całości musi się udać w dniu swego święta na ową górę i tam połknąć kilkanaście małych rybek, próbował już kilkakrotnie znieść ten barbarzyński zwyczaj, lecz za każdym razem przeciwstawili się temu mieszkańcy. Kandydat na burmistrza, czy ławnika musi w swym programie wyborczym zapewnić ludność miasta, iż zostanie wiernym tradycji i tak jak jego przodkowie dopełni ceremonjału.

Niezwykły ten zwyczaj pochodzi jeszcze z czasów Karola Wielkiego. Grammont, które było wówczas twierdzą, zostało oblężone przez wojska germańskie. Przypuszczano, iż zostanie ono wzięte głodem, tymczasem jednak tego roku w małej rzeczce, która otaczała twierdzę, pojawiły się olbrzymie ilości małych rybek i w ciągu wielu miesięcy stanowiły jedyne pożywienie oblężonych.

Poza wypiciem puharu z rybkami, burmistrz rzuca z góry wypieczony chleb, który nosi nazwę „Krakelingen", do rzeki, odwdzięczając się w ten sposób rybkom, iż uratowały one kiedyś miasto od głodu.

Minęło wiele wieków. Pod Grammont niema już rzeki i została jedynie stara góra, rocznica jest jednak nadal święcona i całe Grammont udaje się wówczas pod ową górę, by być naocznym świadkiem, jak burmistrz i wszyscy ojcowie miasta połykają żywe rybki.

(hajot).

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 4 **Niedziela 26 stycznia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 4-GO:

PIEWCA DŻUNGLI.
Czem była i jest dla Anglji i całego świata twórczość literacka Rudyarda Kiplinga.
Str. 4—5—6.

▼

NASZE BABKI W KAJDANACH KONWENANSU.
Dziesięć paragrafów kodeksu zwyczajów towarzyskich w interpretacji baronowej Staffe z końca XIX wieku. Str. 7—8.

▼

PRINCE CHARMANT.
O księciu, który przez jedną noc stał się władcą najpotężniejszego imperjum świata.
Str. 11—12.

▼

„ODKRYCIE" LWOWA.
Jak Lwi Gród wydobył spod tynku i zapomnienia zabytki swej architektonicznej świetności.
Str. 14—15.

▼

SERCA W TAKCIE 3/4...
Co spowodowało powrót króla tańców — wiedeńskiego walca na parkiety dancingów i sale balowe?
Str. 16—17.

▼

CZY MASZ BUJNĄ FANTAZJĘ?
Nowy, wielki konkurs „Asa" na najmieprawdopodobniejsze głupstwo. — Zawody o tytuł „króla kawalarzy" i nagrody pieniężne.
Str. 18.

▼

LAUREAT PSIEJ PIĘKNOŚCI.
Moda dyktuje pięknej pani wybór czworonożnego ulubieńca.
Str. 19—20.

▼

Ostatni przebój „Wesołej Lwowskiej Fali".
KONIEC -- KROPKA -- PAS!
Foxtrot-piosenka. — Słowa: W. Budzyńskiego. Muzyka: A. Schütza.
Str. 22.

▼

PANI MOŻE BYĆ CZARUJĄCA I MŁODA, JEŻELI...
Sari Maritza i Lucy Szczepańska zabierają głos w ankiecie kosmetycznej „Asa". Str. 28.

▼

Powieść. -- Nowela Wellsa. -- Życie towarzyskie i artystyczne. — Łamigłówki mody męskiej. — Dział gospodarstwa domowego. — Moda kobieca. — Humor. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



Fot. Wide World — Londyn

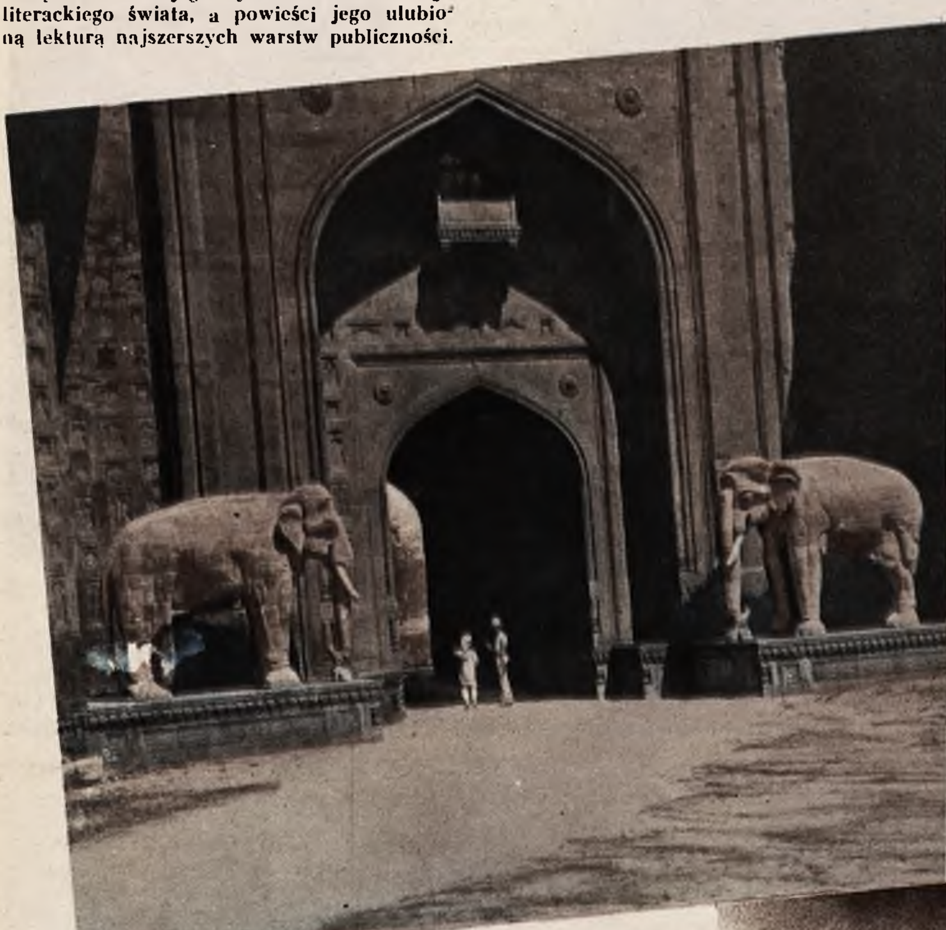
Najbogatszą kobietą świata jest obecnie mrs. Doris Cromwell, córka słynnego króla tytoniowego, Jamesa Duke, po którym ostatnio odziedziczyła miljony. Mrs. Cromwell odznacza się wyjątkową urodą i już niejednokrotnie spotkała się z propozycjami wystąpienia w filmie. Widzimy ją na zdjęciu podczas przyjęcia, jakie zgotowali jej artyści filmowi w najelegantszym night-club'ie Hollywoodu „Victor Hugo".

Piewca dżungli



Bengalski tygrys, symbol dżungli indyjskiej.

Ze śmiercią Rudyarda Kiplinga w dniu 18 stycznia b. r. schodzi do grobu ostatni z trzech znakomitych angielskich powieściopisarzy ery Wiktorjańskiej, którym literatura brytyjska zawdzięcza największe triumfy ubiegłych lat czterdziestu. I rzec można, najszczęśliwszy z nich, gdyż nie tylko laureat nagrody Nobla, poeta obdarzony najwyższemi odznaczeniami w kraju i zagranicą, ale i człowiek, którego nazwisko stało się synonimem największych wartości duchowych imperjalistycznego Albionu. Z końcem 1894 roku zmarł, pozostawiwszy szereg dzieł niewykończonych, R. L. Stevenson, w chwili, kiedy nazwisko jego było na ustach całego literackiego świata, a powieści jego ulubioną lekturą najszerszych warstw publiczności.



Wejście do fortyfikacji w Delhi — Indje.

W 1925 r. zamknął powieki sir H. Rider Haggard, twórca nowoczesnego romansu awanturniczego, jeden z najlepszych narratorów świata, serdeczny przyjaciel Kiplinga, który współpracował z nim nawet w pisaniu romansu „Upiorni Władcy" (The ghost kings). Śmierć Kiplinga kładzie kres długiej karjerze literackiej i dziennikarskiej ostatniego z tej trójcy pisarzy, związanych ze sobą więzami wzajemnego szacunku. I jeśli autor „Ksiąg dżungli" był już u szczytu sławy z początkiem bieżącego stulecia, jeśli największe triumfy święcił na długie lata przed wybuchem wojny światowej, to jednak zaszczyty i bogactwa nie przeszkodziły mu w wydatnej pracy aż do ostatnich miesięcy, czego dowodem wydany w ubiegłym roku tom nowel fantastycznych i sensacyjnych p. t. „Długi i zobowiązania", nie ustępujących najlepszym krótkim historjom jego z pierwszej fazy twórczości.

Wartość Kiplinga, jako powieściopisarza, nowelisty, poety i sprawozdawcy dziennikarskiego jest tak wielką, że sławy jego nie zmniejszyło powodzenie największych twórców Anglji współczesnej z H. G. Wellsem i Galsworthym na czele. Był on bowiem typowym wyrazicielem cnót i wartości dobrego Brytyjczyka, człowiekiem fanatycznie przywiązanym do swego kraju, dla którego praca stała się głównym celem w życiu. I dlatego nawet w tym utworze, który zrozumiały być musi dla każdego człowieka, w „Drugiej Księdze dżungli", mającej bezsprzecznie piętno kosmopolityzmu, każe swemu bohaterowi Mowgliemu, wyrzec się władztwa nad zwierzętami i objąć służbę, jako podrzędny urzędnik, coś w rodzaju gajowego, na żołdzie angielskim. Jeśli Kipling nie wahał się zepsuć w ten sposób jednej z swych najlepszych kreacyj to tylko dlatego, że jego brytyjska duma kazała mu cenić więcej każde kółko w maszynie angielskiej biurokracji, niż ludzi niepodlegających wpływom anglosaskiej kultury. Ten rys charakteru wielkiego pisarza przejawia się najwydatniej w jego wierszach patrjotycznych, wydanych p. t. „Siedem mórz" i „Pięć narodów", w których okazał się nie tylko fanatycznym piewcą wielkości Anglji, ale i twórcą współczesnej pieśni żołnierskiej („Ballady koszarowe"). Nic też dziwnego, że działalność Kiplinga drogą była sercu wszystkich obywateli starego Albionu i uważaną przez nich za „sacrosanctum".

A jednak Kipling nie był rodowitym Anglikiem, urodził się bowiem w Bombaju 13 grudnia 1865 r. i wiele lat swego życia spędził w Indjach. Skłonności artystyczne odziedziczył po ojcu Lokwoodzie Kiplingu, znakomitym malarzu, zajętym w angielskiej służbie państwowej, który ilustrował także niektóre dzieła syna. Sam Rudyard rysował również, czego dowodem jego ilustracje do „Takich sobie bajeczek", napisanych dla dzieci, znanych dobrze także u nas w Polsce. Styczność z egzotycznym światem Indyj, z ich legendami i wierzeniami, z oficerami i urzędnikami, pracującymi wśród dzikich





Od lewej: Ilustracje do „Pierwszej Księgi Dżungli", pendzla W. H. Drake i ojca poety J. L. Kiplinga.

tubylców, niejednokrotnie w warunkach trudnych do pomyślenia, przeobraziły go w pioniera angielskiej racji stanu nad Gangesem i głosiciela wspólnoty Indyj z macierzą. Dla idei zbliżenia tych dwóch tak odrębnych krain zrobił więcej, niż ktokolwiek inny przed nim. I rzec można, że doktoraty honorowe, przyznane mu przez kilka uniwersytetów angielskich w ostatnich latach jego życia, były wyrazem uznania jego ziomków nie tylko dla Kiplinga-poety, ale i obywatela.

Pierwsze jego utwory, wydane w Indjach, miały charakter typowych „short stories", krótkich nowelek z życia tubylców. Tę formę opowiadań, tak charakterystyczną dla literatury angielskiej, doprowadził Kipling do artyzmu i hołdował jej do końca życia. — Prawdę mówiąc, od czasu ogłoszenia „Kima", na przełomie obu stuleci (1901 r.), wydał drukiem tylko zbiory nowel pod najrozmaitszemi tytułami, uważając, zdaje się, działalność swą powieściopisarską za skończoną. Nowele te, od obyczajowych począwszy, a skończywszy na kryminalnych i sensacyjnych, są jednak prawdziwemi klejnotami i przełożone zostały w znacznej części na wszystkie języki cywilizowane. Stworzył w nich Kipling, zazdroszcząc zapewne laurów Conan Doylemu, popularną w Anglji postać ajenta policji na żołdzie indyjskim, Stricklanda, który rozwiązuje najtrudniejsze zagadki dzięki znajomości zwyczajów i instynktów Hindusów. Nowele kryminalne, ogłaszane w ostatnich kilku latach w londyńskim „Strand Magazin" są raczej próbami literackiemi w rodzaju Chestertona, niż opowiadaniami sensacyjnemi. Dużą wartość mają natomiast cykle nowel historycznych („Puk", „Elfy i chochliki"), o podkładzie fantastycznym oraz historje z życia marynarzy, z których wiele przełożono na język polski.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że Kipling pozostawił arcydzieła na każdem polu twórczości literackiej. Z chwilą ogłoszenia „Prostych opowieści z pogórza" w 1890 r. w Anglji rozpoczyna się długi szereg triumfów, które uczyniły nazwisko jego sławnem na obu półkulach świata. Prawdziwie epokowem wydarzeniem było napisanie w 1894 r. „Księgi dżungli", po której nastąpiła w kilka lat później „Druga księga dżungli", dzieła uwieńczone nagrodą literacką Nobla w 1907 roku.



Słynny autor „Pierwszej Księgi Dżungli" Rudyard Kipling w ostatnich latach swego życia.

„Księgi dżungli" uważać można pod pewnemi względami za próbę zmodernizowania bajki, z której usunięto pierwiastki nadzmysłowe, podkreślając natomiast pewne szczegóły drugoplanowe, uwydatniając tło i dając odpowiednią charakterystykę „bohaterów". Są one prototypem tak modnej dziś powieści „zwierzęcej", która w Londonie i Curwoodzie znalazła później znakomitych przedstawicieli. Zwierzęta Kiplinga „rozumują" i poczynają sobie, jak ongiś zwierzęta Grimmów, Andersena i Hauffa, ale nie są już tylko dodatkiem do społeczeństwa ludzkiego, niewolniczem plemieniem, skazanem na wegetację z woli pana-człowieka. Żyją w dżungli życiem odrębnem, rządzą się własnemi prawami i uznają ludzi tylko za intruzów. W rezultacie „Księgi dżungli" stanowią całość zupełnie oryginalną, w której niema wprawdzie istotnego bohatera, ale w której interesuje czytelnika każdy ustęp i każdy epizod. Tem się tłumaczy bezprzykładna popularność tego utworu. Jeśli w dziedzinie tej nie ma Kipling właściwe poprzedników i opierał się tylko na miejscowych podaniach — pokrewieństwo „Ksiąg dżungli" z Robinsonem Defoego, na które zwracali uwagę pewni krytycy jest bardzo dalekie — to jednak dał arcydzieło, stanowiące wzór niedościgniony dla szeregu naśladowców i następców. Jako znawca przyrody indyjskiej stworzył, także i w wielu nowelach „zwierzęcych" nie symbole i alegorje, ale spostrzeżenia z życia. W istocie, zwierzęta Kiplinga nie są tworami sztucznemi, ale prawdziwemi zwierzętami, mimo, że mówią i myślą, jak istoty rozumne, Bagheera, Baloo, Rikki-tikki, Kala-nag itd. są kreacjami niezrównanemi.

Morze pociągało Kiplinga, jak każdego Anglika. Podróżował wiele i zwiedził prawie wszystkie części brytyjskiego imperjum. Bezsprzeczną jego zasługą jest zmodernizowanie romansu „morskiego", stworzonego



Na prawo: Wspaniały grobowiec, zbudowany z marmuru, alabastru, jaspisu i onyksu w Agra — Indje.





Od lewej: Ilustracje „Pierwszej księgi dżungli", zrobione przez P. Frenzeny i J. L. Kiplinga, ojca autora.

przez J. F. Coopera i Marryata i zwrócenie uwagi społeczeństwa na te warstwy ludności, dla których oceany stanowią teren zarobkowania („Kapitanowie Zuchy").

Wielką rolę odegrał Kipling, jako wychowawca młodzieży angielskiej na wzór Cecila Rhodesa i Chamberlaine'a. U najmłodszych starał się zbudzić zmysł humoru, podkreślając sytuacje komiczne, nieraz w sposób groteskowy. Starszych zachęcał do wytrwałości, krzepił i nauczał, podkreślając zalety duchowe i fizyczne bohaterów. Tężyzna, hart ducha, siła woli, a z drugiej strony rozwaga, zimna krew i cierpliwość — oto zalety prawdziwego Anglika, które dały mu panowanie nad światem i które wyrobić sobie trzeba za młodu. Dlatego nie spotykamy u Kiplinga ani śladu romantycznej czułostkowości, a ilekroć temat lub sytuacja zmusi go do sentymentalizowania („Światło, które zgasło"), czyni to, jakby nieszczerze i jakby ze wstydem.

Twórczość Kiplinga jest nawskróś oryginalna i nie można mówić o jakichkolwiek literackich wpływach na niego. Była jednak tak różnorodną, a autor „Kima" czerpał z tylu źródeł i uprawiał tyle działów literatury, że niejednokrotnie wkraczał w dziedziny, stanowiące specjalność pewnych powieściopisarzy. Tem się tłumaczy, że niektórym jego fantazjom przypisywano podobieństwo do nastrojowych opowiadań Poego, Dickensa i Brete Harte'a. Podkreślić jednak trzeba, że chociaż omawiał nieraz wydarzenia nieprawdopodobne, a nawet niesamowite „Riksza Widmo", „Prawdziwe zdarzenie" itp.), czynił to zawsze z uśmiechem sceptyka, dla którego wartość istotną posiadają tylko rzeczy realne.

Ostatnie lata spędził Kipling w Anglji, w wiejskiem ustroniu. Dziwnym trafem śmierć jego przypadła prawie że w siedemdziesiątą rocznicę urodzin, którą tylko dzięki ciężkiej chorobie sędziwego pisarza nie przeobraziła się w manifestację narodową. Schodzi się ona dziś z uroczystościami żałobnemi, w których wezmą udział wszystkie warstwy społeczeństwa angielskiego, rozsiane na obu półkulach świata. Z śmiercią Kiplinga zeszedł bowiem do grobu ostatni bojownik o poszerzenie granic brytyjskiego imperjum. Przyszłość okaże, czy nowe pokolenie zdoła wykonać testament jego, głoszący jedność i nierozerwalność wszystkich części olbrzymiego państwa synów Albionu.

W. Skurczyńska.

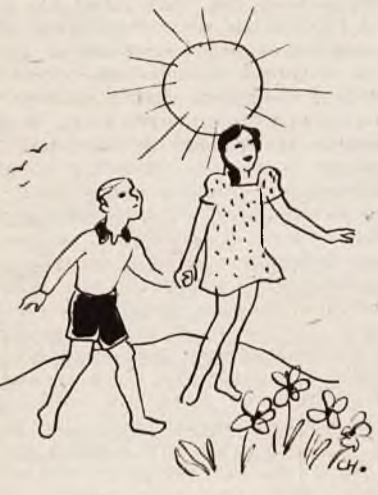
TRZY WIERSZE RUDYARDA KIPLINGA

w tłumaczeniu Witolda Zechentera — **z tomu „Actions and Reactions"**

ZIEMIA RODZINNA MÓWI DO SWYCH DZIECI

Ja jestem ojców twych krainą
i we mnie szczęście się kwieci —
chcę, zanim wody dni upłyną,
spowrotem przywieść me dzieci.

Pod ich stopami w gęstej trawie
rodzi się lgnące czarowie —
powrócą tu, jak obcy prawie,
zostaną jako synowie.



Nad ich głowami wśród nanowo
zyskanych drzew wśród polan,
ja przędę moich zaklęć słowo
ciągnąc ich do mych kolan.

Zapachy dymu w te wieczory
i deszczów, co w noc się rodzą,
godziny, dni i roku pory
ich dusze znów złagodzą.

Aż ja rozświetlę sens prastary
znaczony lat tysiącami —
wiedzą napełnię ich serc puhary,
ich oczy — wzruszeń łzami.

CZTERY ANIOŁY

Gdy Adam leżał pod jabłonią zadumę marząc senną,
zszedł Anioł Ziemi i oddawał mu wszystką ziemię w lenno.
Lecz Adam ziemi nie chce i nie śpieszy
do ciężkiej pracy, do bron i lemieszy.
Śpiewał: Powietrze — Ziemia — Ogień — Morze,
czego więc sobie człowiek życzyć może?
(a jabłoń pączkuje).

Gdy Adam leżał pod jabłonią zadumę marząc senną,
zszedł Anioł Wody i oddawał mu wszystkie morza w lenno.
Lecz Adam morza nie chce, ni wiosłować
nie pragnie, ani okrętów budować.
Śpiewał: Powierze — Ziemia — Ogień — Morze,
czego więc sobie człowiek życzyć może?
(a jabłoń już w liściach).



Gdy Adam leżał pod jabłonią zadumę marząc senną,
Anioł Powietrza mu oddawał wszystko powietrze w lenno.
Lecz Adam wcale nie pragnie powietrza,
ani podróży nadziemnych mu nie trza.
Śpiewał: Powietrze — Ziemia — Ogień — Morze,
czego więc człowiek życzyć sobie może?
(a jabłoń już kwitnie).



Gdy Adam leżał pod jabłonią zadumę marząc senną,
zszedł Anioł Ognia — i nic nie rzekł — lecz stworzył moc płomienną
i te gorące, te ogniste głownie
w serce Adama złożywszy bezsłownie
śpiewał: O Ogniu! niech żar twój się nagnie!
dosięgnij, czego serce jego pragnie!
(a jabłoń okwitła).

Gdy Adam poza granicami rajskiemi pocił czoło,
używał ziemi, mórz, powietrza — wszystkiego naokoło.
I z głębin czarnym wyznaczonych bólem
kiedy się wznosił, aby stać się królem
tych czterech mocy, żywiołów przedwiecznych —
nigdy swych pragnień nie dosiągł serdecznych...
(a jabłoń już ścięto).

ŚPIEW MISTRZA

Jeśli myśl sięgać może nieb wyży,
pozwól jej mieszkać tam,
inaczej bowiem może zejść niżej
do czarnych piekła bram.
I spustoszenie i zamieszanie
umysłu wśród tych burz,
zamieszkać może w twojem mieszkaniu,
któreś opuścił już.

Żadnych zaniedbań za tobą osad,
żaden cień, co się skrył —
od krokwi dachu do domu posad
precz zła i udręk pył!
Przywołaj ducha swojego z dziczy,
bo zginie w wirze dróg —
niech spadkobierca twój nie dziedziczy
żadnych przeszłości trwóg.



Myśl w smutku, który duszę twą kąsa
jakąś mu drogę dał —
kogo twój dziki przestrach potrząsa?
w czyj mózg się wżarł twój szał?
Niechże spowodu twojej niedoli
nikt nie poczuje łez —
pamiętaj: w inny to, co się boli,
idzie, niż sądzisz, kres!

Jak wodą ziemia cała się zrasza
udręczeń naszych krwią —
i łaski bożej nikt nie wyprasza!
Lecz boże środki są,
że choć nadziei i wiary plony
i miłość błednie nam,
i ten od Boga nie odpędzony,
kogo Bóg przeklął sam!

Notarjusz prosi narzeczoną, by pozwoliła ucałować swą rączkę...



NASZE BABKI w kajdanach konwenansu

My współczesne kobiety, nie wiemy wcale, jak nam jest dobrze, nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak to szczęśliwie dla nas się zdarzyło, że nasze życie przypadło na ten właśine okres powojenny, kiedy kajdany konwenansów zostały rozerwane raz na zawsze!

Zapewne są dziedziny, w których konwenans jeszcze pokutuje jako niedorzeczny przeżytek — ale mimo wszystko, jakaż szalona różnica między formami towarzyskiemi z przed jakichś 40-tu lat a dzisiejszą swobodą! Dziś oddychamy pełną piersią, niegdyś duszono się, dławiono konwenansem!

Leży przedemną książka baronowej Staffe, wyroczni paryskich salonów z przed kilku dziesiątek lat — książka p. t. „Zwyczaje towarzyskie", w przekładzie tajemniczej osoby, która podała skromnie tylko swoje inicjały M. N. B. Przekład wydano w r. 1898. Tłumaczka czy tłumacz nazywa autorkę „prawodawczynią na polu dobrego smaku" — istotnie jej książka jest kodeksem towarzyskim. Jakaż to niewyczerpana skarbnica humoru dla nas „profanów" z powojennej epoki!

Najcenniejsze perełki humoru zawiera rozdział o małżeństwie. Gdyby któraś z dzisiejszych matek dała swej dorastającej córce ten podręcznik, ta napewno wybuchnęłaby homeryckim śmiechem! Jakże bowiem wyglądają „kroki wstępne" do tej podróży w nieznane, jaką jest małżeństwo? „Gdy młody człowiek wyróżni z pomiędzy innych pewną panienkę i zapragnie ją poślubić, nie może odrazu i bez ogródek prosić o jej rękę. Z zamiarów tych zwierza się rodzinom, a w braku ich poważnemu wiekiem przyjacielowi, opiekunowi lub przełożonemu". „Pierwsze zpoznanie młodych odbywa się zwykle i to najczęściej na balu, albo w teatrze, w takim zaś razie przyszły starający się składa w loży uszanowanie matce panienki pod pozorem towarzyszenia znanej obu stronom osobie, która go przedstawia". Dziś te sprawy odbywają się chyba nieco prościej, nieprawdaż?

Jak wygląda znowuż okres narzeczeństwa? „Narzeczona nie wychodzi sama na ulicę ze swym narzeczonym, gdyby zaś narzeczony towarzyszył jej na ulicy, w teatrze lub t. p. miejscu, to powinien iść z nimi jeszcze jakiś krewny, który ma wyłączne prawo bronić i osłaniać ją przed zniewagą".

Jakto — a wspólne wieczory w kinie, w kawiarni, a wspólnie uprawiane sporty, wycieczki, noce, spędzane wśród młodzieży w schroniskach? To wszystko było nie do pomyślenia, zabronione pod karą śmierci towarzyskiej. Etykieta z podniesionym mieczem potępienia i stugębna Fama wzięły się za ręce, zagradzając drogę do wolności, swobody i radości życia. Ani kroku sam na sam — „garda" to „conditio sine qua non".

Jak odbywał się spacer narzeczonych z nieodzowną mamą? „Delikatność, takt i względy przyzwoitości nakazują, aby w takim razie narzeczony podał ramię przyszłej teściowej, a nie narzeczonej, jakby tego pragnął. Na ulicy teściowa wspiera się na ramieniu narzeczonego swej córki, która idzie sama obok matki". Biedny był ów męczennik, gdy teściowa, używająca go jako podpórki, miała 90 kg żywej wagi!

Od chwili zbliżenia się dwojga młodych prowadzi do ślubu daleka droga, najeżona cierpieniami przeróżnych formalności: uroczyste oświadczyny, zaręczyny i kontrakt czyli podpisanie intercyzy! „W chwili podpisywania kontraktu notarjusz prosi narzeczoną— i ma do tego prawo — aby mu pozwoliła ucałować swą rękę; panienka zgadza się na to, zapytawszy pospiesznie wzrokiem matki i swego narzeczonego o radę. Naturalnie obydwoje przystają na to skinieniem głowy".

Zdawałoby się, że z chwilą ślubu panienka-niewolnica przedzierzga się w swobodną istotę. Nic z tego! Zmienia się tylko jej nazwisko! „...w pierwszych latach po zamążpójściu młoda kobieta wychodzi jak najmniej sama, ażeby nie ściągnąć na siebie niemiłych przypuszczeń. Jeżeli nie ma matki lub starszej siostry, to podczas wszystkich jej odwiedzin, podczas załatwiania sprawunków powinna jej towarzyszyć przyjaciółka i to bardzo poważna". „Co się zaś tyczy teatru, to zbytecznem jest prawie wspominać, że byłoby to bardzo niestosownem, gdyby się tam zna-

Pozwalamy podziwiać się w mocno wydekoltowanej sukni balowej





Drużba podaje prawą rękę drużce, pod lewem ramieniem niesie „klak".

lazła bez jednego ze swoich naturalnych opiekunów: męża, ojca lub brata".

W tych zapatrywaniach jest autorka niezmiernie postępowa, bo — jak powiada — dawniej „młode małżeństwo nie mogło się w teatrze ,ani na ulicy inaczej pokazywać, jak tylko w towarzystwie trzeciej osoby". Ładnie wyglądałyby dzisiejsze pracujące kobiety, nieraz utrzymujące swą pracą siebie i chwilowo bezrobotnego męża!

W tych wszystkich ceremonjalnych zaporach na drodze życia codziennego uderza niebywała wprost hipokryzja. Najpierw forma — forma i raz jeszcze forma — podniesiona do setnej potęgi, a uczucie, chęć postąpienia zgodnie z własnem pragnieniem — na ostatnim planie.

Życie towarzyskie było ustawiczną maskaradą — uśmiechnięte zdawkowo maski przysłaniały prawdziwe oblicza ludzkie. Jak kobiety wciskały przemocą swe kształty w gorsety z fiszbinami i ściągały je aż do utraty tchu, byle tylko mieć figurę cienką w pasie, jak osa, tak samo wtłaczali wszyscy swe dusze w niemiłosierne tryby konwenansu.

Wyobraźmy sobie najskromniejsze przyjęcie bridżowe czy imieninowe w następujący sposób: „„...gosposie, dostawszy cukierki, np. na Nowy Rok, układają je ładnie na talerzu albo dają do pięknego kubka, który obiega z rąk do rąk gości. Mając także pudełko łakoci, np. z chrzcin, podaje się je gościom, a nikt nie bierze więcej nad jeden migdałek czy cukierek. Gospodyni prosi zawsze, aby brano więcej". Przy takiem odżywianiu można było bez masażu i gimnastyki zachować smukłą linję!

A co za męki, prócz solidnego głodu, przechodzą goście na wizycie! „Przez cały ciąg swej wizyty trzyma mężczyzna kapelusz w ręku. Kapelusz trzyma zewnętrzną stroną do widzów; gdyby pokazywał świeżą jego podszewkę, byłby bardzo śmieszny". Możliwe, ale ta sytuacja miała raczej cechy tragizmu!

Nieszczęsny kapelusz prześladuje właściciela przy różnych okazjach: przypatrzmy się drużbie na weselu! „Młody człowiek podaje panience prawą rękę (tak koniecznie), na którą ona lekko kładzie swą rączkę. Klak niesie pod lewem ramieniem, a lewą trzyma bukiet swej drużki".

W niektórych sprawach okazuje autorka wielki liberalizm, mówiąc bowiem o „wykwintności w wyrażeniach i w potocznej rozmowie", wyśmiewa kobiety „tak śmiesznie wstydliwe, że nie powiedzą za nic „kuperek kurczęcia", tylko „infuła drobiu". Mimo to sądzę, że obróciłaby się w grobie, gdyby słyszała, jakie to „kawały" opowiadają dziś kobiety w męskiem towarzystwie! Dostałaby też napewno palpitacji serca ona, która na uroczystości weselnej zabrania pannie młodej „tańczyć walca z kim innym, jak tylko z mężem lub bliskim krewnym".

Kobieta „na bal nie bierze sukni zbyt wyciętej, choćby jej szyjka i ramiona najcudniej były utoczone. Tembardziej nie przechadza się w opiętym stroju kąpielowym po brzegu dla wystawy, ale zarzuci na siebie płaszczyk". Brzmi to niemal rozbrajająco w okresie gorącej propagandy wychowania fizycznego! A „miss Europa", dająca najspokojniej w świecie podziwiać się setkom par oczu w obcisłym trykocie i dekoltowanej do ostateczności sukni balowej byłaby w oczach pani baronowej Staffe zapewne zdegradowana do rzędu tych, „o których się nawet myśleć nie chce"!

Jeszcze kilka słów o garderobie damskiej: „bielizna wasza niech będzie piękna, a nawet kosztowna, ale bez zbytkownych haftów, koronek i ozdób". Czcigodna baronowa ze zgrozą spoglądałaby na małe poemaciki z jedwabiu, tiulu i koronek, tak rażąco „nieskromne" w porównaniu z webowemi koszulami naszych babek, sięgającemi po sam koniuszek brody.

Gabinety kosmetyczne zbankrutowałyby zapewne w owych czasach, kiedyto „każdy poważnie myślący człowiek ze wstydem i pogardą (sic!) odwracał się od kobiety, na której twarzy dostrzegł farbę czerwoną lub białą i wargi, posmarowane świecącą się, jak lakier, maścią...

Tak wyglądało życie kobiety w epoce sztambuchów, czułostkowych pamiątek, w epoce zakłamanej, nieszczerej, hamującej żelaznem wędzidłem etykiety wszelkie odruchy prawdziwych uczuć, w epoce, która nam wydaje się dawno przebrzmiałą, a niezrozumiałą legendą, choć od owego czasu upłynęło zaledwie pół wieku!

Wanda Staarowa.



Na prawo: Teściowa wspiera się na ramieniu przyszłego zięcia...

H. G. WELLS

Człowiek, który robił diamenty.

NOWELA

Przekład autoryzowany W. de RICHE.

Jakiś interes zatrzymał mnie w Chancery Lane aż do dziewiątej wieczór, a że później zaczęła boleć mnie głowa, nie miałem ochoty ani do dalszej pracy, ani do żadnej rozrywki. Skrawek nieba, widoczny z wąskiego wąwozu kamienic, rojącego się od ludzi, świadczył, że noc była piękna, postanowiłem zatem wybrać się na Bulwary i dać odpoczynek oczom oraz ochłodzić głowę, przyglądając się rozproszonym na rzece światłom. Nie ulega wątpliwości, że noc najlepiej nadaje się na spacer w te okolice; litościwa ciemność skrywa brudne wody, a czerwone, pomarańczowe, żółte i białe światła wyłaniają się z mrocznych konturów wszelakiego cienia, od szarego aż do ciemno-purpurowego. W oprawie łuków mostu Waterloo widnieje sto punkcików świetlnych, któremi oznaczają linję Bulwarów, a ponad jego poręczami wznoszą się wieże Westminsteru, szarzejące w świetle gwiazd. Czarna rzeka płynie spokojnie i tylko od czasu do czasu kłębiący się wir przerywa ciszę i zaciera refleksy świetlne na jej powierzchni.

— Ciepła noc — rzekł ktoś przy mnie.

Odwróciłem głowę i ujrzałem profil mężczyzny, który opierał się o parapet opodal. Była to twarz o rysach delikatnych, niebrzydka, chociaż blada i wynędzniała, a podniesiony i zapięty pod szyją kołnierz od ubrania określał równie pewnie, jak uniform jego stanowisko społeczne. Czułem, że jeśli mu odpowiem, narazi mnie to na nocleg i na śniadanie.

Spojrzałem na niego z ciekawością. Czy opowie mi coś wartego zapłaty, czy też jest zwyczajnym niedołęgą — niezdolnym nawet do opowiedzenia własnych przeżyć? Czoło jego i oczy świadczyły o inteligencji, a charakterystyczne drżenie górnej wargi sprawiło, że się zdecydowałem.

— Bardzo ciepła — rzekłem — ale nie za ciepła dla nas w tem miejscu.

— Nie — rzekł, patrząc wciąż na wodę — jest tu przyjemnie... właśnie teraz.

— To dobrze — mówił dalej po chwili — że można znaleźć tak zaciszne miejsce w Londynie. Kiedy człowiek ugania się przez cały dzień za interesami, bierze na siebie zobowiązania, stara się o pracę i pokonuje trudności, tak zaciszne kąciki są dla niego prawdziwem schronieniem. — Mówił, robiąc długie pauzy między zdaniami. — I pan musi wiedzieć coś o ciężkiej pracy na tym świecie, inaczej nie zaglądnąłbyś w te strony. Wątpię jednak, czy jest pan tak znużony fizycznie i moralnie, jak ja... Bah! Czasami zdaje mi się, że gra nie warta świeczki. Mam ochotę wyrzec się wszystkiego — nazwiska, majątku i stanowiska — i zająć się jakimś skromnym handlem. Wiem jednak, że jeśli wyrzeknę się ambicji — jakkolwiek ona przyprawia mnie o ruinę, nie pozostanie mi nic innego na resztę dni żywota, jak wyrzuty sumienia.

Zamilkł. Spojrzałem na niego zdziwiony. Nigdy jeszcze nie widziałem tak znękanego przez los człowieka. Był brudny, nieogolony i nieuczesany, a ubranie jego wisiało w strzępach. Wyglądał, jakby przez tydzień przebywał w śmietniku. I mówił mi o ciężkiej pracy, jakiej wymaga każde większe przedsięwzięcie. O mało nie roześmiałem mu się w twarz. Albo był szalony, albo żartował sobie z własnego ubóstwa

— Jeśli wielkie cele i wysokie stanowiska — rzekłem — wymagają ciężkiej pracy i ustawicznych zabiegów, dają w zamian wiele rzeczy. Wpływy, możność czynienia dobrego, pomagania słabszym i biedniejszym. I można mieć nawet pewne zadowolenie...

Paplanina moja była w danych okolicznościach w bardzo złym guście. Mówiłem, gdyż ujęła mnie jego twarz i słowa. Ale przykro mi było, że mówiłem.

Zwrócił ku mnie twarz groźną, ale spokojną. I rzekł:

— Zapomniałem się. Rzecz prosta, że pan nie możesz mnie zrozumieć.

Przyglądał mi się przez chwilę. — Bez wątpienia, że to wygląda na absurd. Nie uwierzy mi pan, jeśli panu nawet opowiem, tak że nic nie stracę na opowiedzeniu mojej historji. A przyniesie mi to pewną ulgę. Chodzi rzeczywiście o wielki interes, o bardzo wielki interes. Ale jestem teraz w kłopotach. Muszę panu powiedzieć... że wyrabiam diamenty.

— Przypuszczam — rzekłem — że w danej chwili jest pan bezrobotny?

— Nie lubię, jak mi ktoś nie wierzy — rzekł zniecierpliwiony i odpinając nagle swoją nędzną marynarkę, wydobył mały, płócienny worek, który wisiał na sznurku na jego szyi. Wyjął z niego brunatny kamyk. — Może zna się pan na tem? — I podał mi go.

Ponieważ właśnie przed rokiem zajmowałem się dla własnej przyjemności nauką fizyki i mineralogji i przerobiłem nawet odpowiedni kurs w Londynie, musiałem przyznać, że kamień wyglądał na nieszlifowany diament ciemniejszej sorty i że był bardzo wielki, gdyż odpowiadał rozmiarami pierwszemu członowi mego kciuka. Przyjrzałem mu się bliżej i przekonałem się, że ma kształt regularnego ośmioboku, a ułożenie jego ścian przypomina najcenniejsze minerały. Wyjąłem scyzoryk i próbowałem zrobić na kamieniu rysę — napróżno. Przechylając się w stronę lampy gazowej, wypróbowałem go na szkiełku od zegarka, znacząc na nim z największą łatwością białą linję.

Spojrzałem na mego towarzysza z rosnącą ciekawością. — Wygląda na djament. Ale w takim razie byłby to diament olbrzym. Skąd go pan wziąłeś?

— Powiadam panu, że go zrobiłem — rzekł. — Proszę o zwrot.

Włożył go zpowrotem do worka i zapiął marynarkę.

— Sprzedam go panu za sto funtów — szepnął nagle.

W tej chwili zbudziły się we mnie znów podejrzenia. Kamień mógł być, mimo wszystko kawałkiem tej prawie równie twardej substancji, która się zwie corundum i tylko przypadkowo mógł byc podobny do diamentu. A jeśli to był diament, skąd go wziął? Dlaczego ofiarowuje go za sto funtów? Spojrzeliśmy sobie w oczy. Wyglądał na człowieka uczciwego. W tej chwili wierzyłem, że to był rzeczywiście diament. Ale jestem biedny i wydatek stu funtów byłby poważnym uszczerbkiem w moim majątku, a zresztą, czy człowiek o zdrowych zmysłach kupowałby diament przy świetle gazowem od włóczęgi w łachmanach, wyłącznie za jego poręczeniem? I do tego diament, który wart był wiele tysięcy funtów? Potem przyszło mi na myśl, że gdyby taki kamień rzeczywiście istniał, musiałby być wymieniony w każdym cenniku klejnotów, chyba, żeby go do Anglji przemycono. I ta myśl kazała mi zapomnieć o kupnie.

— W jaki sposób dostał się w pańskie ręce? — zapytałem.

— Zrobiłem go.

Słyszałem coś niecoś o Moissanie, ale wiedziałem, że jego sztuczne diamenty były bardzo małe. Wstrząsnąłem głową.

— Zdaje się, że pan słyszał coś o sztucznych diamentach. Powiem panu o sobie. Może wówczas zdecyduje się pan na kupno.

Odwrócił się plecami do rzeki i włożył ręce do kieszeni. Westchnął.

— Wiem, że mi pan nie uwierzy.

— Diamenty — rozpoczął mówić, a głos jego tracił w miarę jak mówił akcent, właściwy włóczęgom i upodabniał się coraz bardziej w intonacji do głosu człowieka wykształconego — powstają, kiedy się wykrystalizuje węgiel z odpowiedniej mieszaniny płynnej, pod działaniem wysokiego ciśnienia. Węgiel wypada z mieszaniny nie w postaci czarnego proszku lub brył, lecz małych diamentów. Było to znane chemikom już od lat, ale żaden z nich nie sporządził jak dotąd odpowiedniej mieszaniny do topienia węgla, ani nie oznaczył ciśnienia, od którego zależy dobry wynik. Dlatego diamenty, robione przez chemików, są małe i czarne i nie przedstawiają żadnej wartości, jako klejnoty. Musi pan wiedzieć, że problemowi temu poświęciłem całe moje życie... całe moje życie.

— Zacząłem pacować nad robieniem diamentów w siedemnastym roku mego życia, a teraz mam lat trzydzieści dwa. Zdawało mi się, że pochłonie to myśli i energję człowieka na dziesięć lub dwadzieścia lat, ale nawet w tym wypadku gra była wartą świeczki. Gdyby się udało rozwiązać to zagadnienie, możnaby zarobić miljony, zanimby się tajemnica nie wydała i diamenty nie stały się tak pospolite, jak węgiel. Miljony!

Przerwał i spojrzał na mnie. Oczy jego świeciły, jak oczy głodnego człowieka. — I pomyśleć — rzekł — że rozwiązałem ten problem i że znajduję się w takiem położeniu.

— Miałem w dwudziestym pierwszym roku życia — mówił dalej — około tysiąc funtów i uważałem, że przy moich dochodach jako nauczyciel, będę mógł prowadzić doświadczenia. Rok lub dwa spędziłem na studjach, przedewszystkiem w Berlinie... a potem zabrałem się do pracy na własny ra-



...włożyłem cylinder do pieca i wyszedłem na spacer... Rys J. M. Brzeski.

chunek. Musiałem pracować w ukryciu. Gdyby się wydało, czem się zajmuję, mogliby i inni ludzie zachęceni moim przykładem, zająć się tem samem zagadnieniem... a ja, nie uważając się za genjusza, nie mógłbym być pewny, że w tym wyścigu pracy przybędę pierwszy do mety. Co więcej, było rzeczą pierwszorzędnej wagi, aby w razie rozwiązania problemu, ludzie nie dowiedzieli się, że chodzi o sztuczne diamenty, które można wyrabiać na tonny. Dlatego pracowałem sam. Z początku miałem małe laboratorjum, ale kiedy środki moje zaczęły się wyczerpywać, musiałem przeprowadzać doświadczenia w nędznym, nieumeblowanym pokoiku w Kentish Town, gdzie sypiałem na słomie, na podłodze, między mojemi aparatami. Pieniądze topniały. Odmawiałem sobie wszystkiego z wyjątkiem tego, czego wymagały naukowe doświadczenia. Chciałem zarabiać dawaniem lekcyj, ale nie jestem dobrym nauczycielem, nie mam stopnia uniwersyteckiego i nie znam się dokładnie na niczem, wyjąwszy chemji, tak, że zarobki moje były bardzo małe. Zbliżałem się jednak z każdą chwilą do celu. Przed trzema laty rozwiązałem problem składu mieszaniny, a kwestję ciśnienia postanowiłem rozwiązać, umieszczając moją mieszaninę i pewien stop węglowy w hermetycznie zamkniętej rurze od strzelby, wypełnionej wodą i poddanej działaniu wysokiej temperatury.

Przerwał.

— Trochę ryzykowne — rzekłem.

— Tak jest. Rozleciała się, a przy wybuchu wyleciały wszystkie szyby i część moich przyrządów uległa zniszczeniu. Ale otrzymałem trochę proszku diamentowego. Pracując nad problemem wpływu wysokiego ciśnienia na stop mieszanin, z którego miały powstać kryształy, natrafiłem na wyniki doświadczeń Daubre'go w paryskiem Laboratorie des Poudres et Salpetres. Wywoływał on wybuch dynamitu w zaśrubowanym cylindrze stalowym, tak silnym, aby nie pękł i dowiedziałem się, że mógł rozsadzać skały i kruszyć je na proszek podobny do tego, w jakim znajdują się diamenty w złożach południowo-afrykańskich. Był to dla mnie ogromny wydatek, ale zakupiłem cylinder stalowy, który nadawał się do moich celów. Umieściłem w nim moją mieszaninę i masę wybuchową, rozpaliłem ogień, włożyłem do niego cylinder i... wybrałem się na spacer.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, słysząc te słowa.

— Czy nie przyszło panu na myśl, że cały dom mógł wylecieć w powietrze? Czy mieszkali tam jeszcze inni ludzie?

— Było to w interesie nauki — rzekł wkońcu. — Mieszkała tam na dole jakaś rodzina żebraków, w pokoiku obok mnie pokątny pisarz, a na poddaszu dwie kwieciarki. Może było to bezmyślne. Ale prawdopodobnie nie wszyscy byli w domu.

Kiedy wróciłem, cylinder leżał między rozpalonemi do białości węglami. Masa wybuchowa nie rozsadziła go. Teraz chodziło tylko o jeden problem. Wie pan, jak wielką rolę w krystalizacji odgrywa czas. Jeśli przyspieszy się proces, kryształki są małe... Tylko wówczas, kiedy mają więcej czasu na tworzenie się, dojść mogą do odpowiedniej wielkości. Postanowiłem, aby stalowy cylinder stygł przez dwa lata i aby temperatura w tym czasie opadała powoli. Ale nie miałem już wówczas pieniędzy.

Nie chcę opowiadać, czem się zajmowałem w czasie robienia diamentów. Sprzedawałem gazety, czyściłem konie, otwierałem drzwi dorożek. Przez szereg tygodni adresowałem koperty. Byłem również pomocnikiem na rogatce. Raz przez tydzień nie miałem żadnego zajęcia i żebrałem. Był to straszny tydzień. Pewnego dnia ogień omało mi nie zagasł i tylko dzięki datkowi, ofiarowanemu mi przez jakiegoś młodzieńca, przechadzającego się ze swą wybraną, zdołałem go podtrzymać. Błogosławiona próżność! Jakżeż pachniały sklepy z rybami! Ale wydałem całe sześć pensów na węgle i rozpaliłem ogień na nowo... a potem... głód czyni z człowieka szaleńca.

— Wkońcu, przed trzema tygodniami, zagasiłem ogień. Wyjąłem mój cylinder i odśrubowałem go, chociaż był jeszcze tak gorący, że poparzyłem sobie ręce, a potem wydobyłem podobną do lawy masę przy pomocy dłuta i rozbiłem ją na proszek na żelaznej płycie. I znalazłem trzy duże diamenty i pięć małych. Kiedy siedziałem na podłodze z młotkiem w ręku, drzwi otworzyły się i mój sąsiad, pisarz pokątny, wszedł do środka. Był pijany — jak zwyczajnie

— Anarchisto! — rzekł.

— Jest pan pijany — odpowiedziałem.

— Łotrze, który dążysz do zniszczenia! —

— Głupie gadanie! — krzyknąłem z pasją.

— Mnie pan nie oszuka — wycedził przez zęby i mrugnąwszy na mnie okiem, oparł się o drzwi, poczem zaczął mi opowiadać, że był w moim pokoju, że udał się następnie na policję i że zeznania jego zostały wszystkie spisane. Wówczas uprzytomniłem sobie, w jak trudnem znajduję się położeniu. Albo wydam policji moją tajemnicę, któa stanie się własnością publiczną, albo dostanę się do więzienia, jako anarchista. Nie mając wyboru ,chwyciłem za kołnierz mojego sąsiada i zrzuciłem go ze schodów, a potem wziąłem moje diamenty i uciekłem. Gazety wieczorne nazwały moją norę „Fabryką bomb w Kentish Town". Ścigają mnie i dlatego nie mogę sprzedać moich kamieni.

— Kiedy zwrócę się do uczciwych jubilerów, każą mi czekać, a potem posyłają pomocnika po policjanta. Wtedy ja zkolei mówię, że nie mogę czekać. Znalazłem jednego pasera, który poprostu schował diament i powiedział mi, że mogę dochodzić sądownie mojej własności, jeśli tego pragnę. Mam teraz przy sobie diamentów za kilkaset tysięcy funtów, a nie mam ani co jeść, ani gdzie spać. Pan jest pierwszym, któremu się zwierzyłem. Ale podoba mi się pańska twarz i głód mi doskwiera.

Spojrzał mi w oczy.

— Byłbym szalony — rzekłem — gdybym w tych okolicznościach kupował diamenty. Co więcej, nie mam przy sobie takiej sumy. Ale wierzę panu więcej, niż w połowie. Jeśli pan chce, proszę przyjść jutro do mego biura.

— Sądzi pan, że jestem złodziejem! — rzekł śmiało. — Zawiadomi pan policję. Nie chcę wpaść w pułapkę.

— Mam wrażenie, że nie jest pan złodziejem. Oto mój bilet wizytowy. Proszę wziąć to na wszelki wypadek. Nie potrzebujemy umawiać się. Przyjdzie pan, kiedy pan zechce.

Wziął mój bilet wizytowy i pół korony.

— Namyśl się pan i przyjdź — rzekłem.

Wstrząsnął głową z powątpiewaniem. — Zwrócę panu kiedyś te pół korony z nawiązką... sam się pan zdziwi — rzekł. — W każdym razie zachowa pan tajemnicę?... Proszę nie iść za mną.

Przeszedł przez ulicę i zniknął w cieniu, na stopniach, wiodących na Essex Street. Widziałem go wówczas po raz ostatni.

Otrzymałem od niego jeszcze dwa listy, w których mnie prosił, abym przesłał banknoty — nie czek — pod podanym adresem. Zrobiłem to, co uważałem za najmądrzejsze. Raz zjawił się u mnie, kiedy byłem nieobecny. Służąca moja opisywała go, jako bardzo chudego, brudnego, źle ubranego mężczyznę, który strasznie kaszlał. Nie pozostawił żadnej kartki. I na tem się skończyło. Zastanawiam się czasem, co się z nim stało? Czy to był pomysłowy monomaniak, czy pokątny handlarz diamentów, czy też naprawdę wynalazca, jak sam utrzymywał. To ostatnie przypuszczenie jest tak prawdopodobne, że zdaje mi się czasami, iż straciłem najlepszą w życiu sposobność do zrobienia majątku. Może umarł a jego diamenty rzucono w kąt... powtarzam, że jeden z nich był prawie tak wielki, jak koniec mego palca. A może włóczy się ciągle, próbując je sprzedać. Może wypłynie jeszcze gdzieś w społeczeństwie i zażywając w błogim spokoju swoich bogactw, śmiać się będzie ze mnie i z mego braku przedsiębiorczości. Czasami zdaje mi się, że mogłem przynajmniej zaryzykować pięć funtów.

Dziś jest za późno....








PRINCE CHARMANT



Gdyby się układało listę osób, cieszących się w chwili obecnej największą popularnością, to napewno naczelne miejsce zająłby książę Walji. Ta popularność jest nietylko wynikiem osobistych zalet, ale, i to może jest ważniejsze, mądrze prowadzonej propagandy politycznej Wielkiej Bryntanji. Pomimo, że czasy dzisiejsze bynajmniej nie nadają się sądząc przynajmniej powierzchownie, do tworzenia mitów, to jednak osoba księcia Walji jest już dziś otoczona licznemi opowieściami, mniej lub więcej fantastycznemi, a on sam, człowiek, nie książę, mniej znany ogółowi, niżby się zdawało.

Gdy ogląda ıy tysiączne zdjęcia fotograficzne dziedz ca korony angielskiej, pojawiające się w pismach, łatwo możemy zauważyć, jak bardzo zmęczonym i znudzonym jest, ten „młody" 42-letni człowiek, który zwiedził cały świat, podawał rękę nietylko monarchom, prezydentom republik, dyplomatom, maharadżom, uczonym, sportowcom, ale też afrykańskim kacykom, aktorom filmowym i wogóle „zwykłym ludziom". „Ich dien" — „służę" — oto słowa, które wraz z trzema piórami strusiemi i koroną o pięciu listkach tworzą godło księcia Walji. Służę!.., nie jest to jakieś motto wybrane z tych, czy innych względów, lecz jest to szczera prawda. Dziedzic największego imperjum świata od najmłodszych swych lat pełnił ciężką służbę, przygotowując się do roli monarchy. Jest to swego rodzaju „czarna robota" zawodu monarszego, który mimo pięknych pozorów nie jest bynajmniej łatwiejszym od wielu innych.

Człowiek, który poza licznemi imionami nosi od kołyski tytuły księcia Walji, księcia Kornwalji i Rothesay, hr. of Chester, Carrick, barona of Renfrew, lorda Wysp, wielkiego stewarda Szkocji itd., nie mógł mieć



Książę Walji jako 8-letni chłopak.

młodości takiej, jak wszyscy inni, gdyż wcześnie włożono na niego obowiązki reprezentacyjne, które w Anglji przedstawiają się znacznie groźniej, niż gdzieindziej. Olbrzymie imperjum Wielkiej Brytanji, posiadające 480 miljonów mieszkańców, rozsianych na 11.440.000 mil kwadratowych, podobne jest do mozaiki weneckiej, która tylko dzięki wielkiemu uzdolnieniu artysty i świetnemu doborowi poszczególnych kamieni przedstawia tak piękny obraz. Skoro jednak rozlecą się owe kamienie i każdy z nich będzie stanowił obraz sam dla siebie, arcydzieło przestanie istnieć, a to, co cieszyło oko, przedstawiać będzie chaos różnokolorowy, lecz jednocześnie bezbarwny. Jak wiadomo, dominja angielskie są zasadniczo niezależne, a jedynie wspólna kultura z Anglją oraz wspólne interesy, a w niemniejszej mierze osoba króla tworzą węzły, które utrzymują te liczne terytorja w ramach imperjum. Dla tych to względów utrzymanie bezpośredniego kontaktu domu królewskiego z poddanymi, którzy mówią różnemi językami, wyznają rozmaite religje i posiadają różnorodne światopoglądy, należy do najważniejszych zadań polityki angielskiej. Tym łącznikiem od lat jest ks. Walji, którego nazwano „komiwojażerem" Wielkiej Brytanji. Istotnie! Gdzież on nie był? Z kim nie konferował? Kogo nie przyjmował i przez kogo nie był przyjmowany?

Prasa nazywa ks. Walji arbitrem mody. Czyż to słuszne? Niezupełnie. Nie chodzi o to, że sam książę mało się troszczy o swój zewnętrzny wygląd i o to, co na siebie włoży. Ubiera się poprostu, jak mu w danej chwili podyktuje fantazja, a że cały elegancki świat go naśladuje, to już nie jego wina. Ale i tu w zakresie mody przebija się przedewszystkiem propaganda polityczna, która korzysta nawet z najdrobniejszych szczegółów, aby osobę dziedzica korony brytyjskiej uczynić jaknajbardziej miłą ogółowi i popularną. Książę Walji, podobnie, jak dziad jego Edward VII wstąpił na tron stosunkowo późno. Podobnie, jak syn królowej Wiktrji i on całą młodość spędził na podróżach, niektórzy twierdzą, że na zabawach, co jest zresztą grubo przesadzone, gdyż zadużo miał obowiązków oficjalnych i za mało czasu. Ale Anglicy z pewnem zadowoleniem słuchają, gdy się mówi o młodzieńczych wybrykach syna królewskiego i powtarza anegdotki, których jest bohaterem. Nic przecież bardziej nie zyskuje ludzkiej sympatji, jak właśnie drobne skandaliki! Przecież Edward VII, jako następca tronu, dzięki tymże awanturkom, zyskał tak szeroką popularność, że w chwili wstąpienia jego na tron nie było bodaj nikogo, ktoby nie powitał tego faktu z radością. Dziadka i wnuka upodabnia również i stosunek wo-



Książe Walji w uroczystym stroju kawalera Orderu Podwiązki, gdy miał lat 17.



Na froncie francuskim w r. 1916 ks. Walji posiadał stopień kapitana grenadjerów gwardji.



Jak wszystkie inne sporty, tak i jazdę konną uprawia ks. Walji z zamiłowaniem.



Ks. Walji w mundurze angielskiej gwardji konnej na paradzie wojskowej.

bec rodziców. Jak wiadomo, królowa Wiktorja była wzorową żoną i matką, Edward VII był lekkoduchem, oczywiście nie w polityce. Również książę Walji spotykał się nieraz z dobrotliwą krytyką swych rodziców, symbolizujących wszelkie rodzinne zalety angielskie.

Gdy w r. 1714 Kurfürst hanowerski z domu brunszwickiego, Jerzy I., syn Ernesta Augusta, wskutek małżeństwa ojca z Zofją, córką Kurfürsta Fryderyka V v. der Pfalz i jego żony Elżbiety, księżniczki angielskiej z domu Stuartów, obejmował tron, był w Anglji osobą zupełnie nieznaną, a co więcej mało sympatyczną. To samo, jeżeli chodzi o drugą właściwość, odnosi się do jego syna, Jerzego II, prawnuka Jerzego III, oraz syna tegoż Jerzego IV. Oni wszyscy przedstawiali typ reprezentantów absolutyzmu oświeconego, którego, rzecz prosta, nie mogli przeforsować w Anglji. Wszyscy bez wyjątku miłośnicy wina i kobiet nie zyskali sobie bynajmniej sympatji swych poddanych. Skąd więc popularność obecnego domu panującego? Ugruntowała ją królowa Wiktorja, córka pierwszego księcia Kentu, a bratanica Wilhelma III, ostatnia z domu brunszwickiego. Ona, słaba kobieta, z wszelkiemi zaletami, ale też wadami swej płci, zrozumiała, że poddani jej życzą sobie widzieć na trone nie bohaterkę, ani też despotycznie z wyżyn swego stanowiska rządzącą monarchinię, ale dobrą matkę i dobrą żonę, mądrą gospodynię i oszczędną obywatelkę. Taką też będąc z natury, ugruntowała w przeciągu swych 63-letnich rządów nierozerwalnie węzły domu królewskiego z narodem. Nieodrodnym jej wnukiem był Jerzy V, gdy natomiast Edward VII i obecny książę Walji wdali się raczej w swoich lekkomyślnych przodków. Modły, które naród angielski zasyłał do Boga za zdrowie swego króla, to nie formalistyka, ani ceremonjał, to szczere serce angielskie, które rzadko się wzrusza i oczekuje odpowiedniej, godnej chwili, aby dojść do głosu.

Można się spodziewać, że podobnie, jak to było z jego dziadkiem, tak też i książę Walji objąwszy rządy, zaczerpnie z poczynionych doświadczeń, by oddać je na usługi olbrzymiego państwa. Bawiący się „młody" człowiek stanie się może równie dobrym politykiem jak Edward VII.

Książę Walji, który do niedawna uchodził w oczach całego świata za najbardziej uroczego i eleganckiego „bon-vivant", zdobywającego przebojem serca kobiet na salonach, dancingach, czy sportowych imprezach, stał się królem Wielkiej Brytanji jako Edward VIII. Wyzbywszy się swego motylkowego uroku, wyrzekłszy się bujania po szerokim świecie i przenoszenia się z kwiatu na kwiat, Prince Charmant przedzierzgnie się w ojca narodu angielskiego, wzbudzając już tylko uczucia wiernopoddańcze. W długim szeregu monarchów angielskich przybędzie jedno nowe nazwisko, ale niejedna kobieta westchnie z przykrością, przypominając sobie chwile, które spędziła z obecnym królem. Z pośród nas zniknął Prince Charmant, a w Windsorze rozpoczął rządy nowy król...

Jan Maleszewski.

Poniżej: Zwiedzając ruiny zamku Carnarvon ks. Walji przyjmowany był przez Lloyd George'a.





Ks. Walji ląduje na lotnisku paryskiem w Le Bourget.



Podczas uroczystości o charakterze religijnym ks. Walji dokonuje ceremonjału zapalenia światła.



Wręczanie dyplomu przez ks. Walji naczelnikowi plemienia afrykańskiego podczas jednej z licznych podróży.

PRINCE CHARMANT

Ks. Walji, obecnie już król Edward VIII, odpoczywa po uciążliwej partji golfa. →





ODKRYCIE LWOWA

Z wzruszeniem stałem w tych dniach, zdumiony nowym widokiem lwowskiego rynku, który znałem od dzieciństwa, jako lamus, przepełniony ohydnemi pudłami i trumniskami, które obramiały nędzne i brudne kramiki, toczące, jak czerw, dostojne, patrycjuszowskie mury. Widok dawny lwowskiego rynku przypominał inne opuszczone miasteczka, których ówczesnym gospodarzem był zatabaczony austrjacki biurokrata.

Patrząc na tę fata morgana, przypomniał mi się natychmiast obraz współczesnego Rzymu, rewindykowanego dla teraźniejszości przez Mussoliniego.

Wódz włoskiego narodu, mistrz propagandy wielkości i piękna Italji, zareklamował swe dzieło „urbi et orbi". Natomiast skromny Lwów, który przeobraził nagle swój rynek-śródmieście, z osnutej pajęczyną i brudem poczwarki, w pełną majestatu i wdzięku piazzetę, z wysuniętą, najbardziej na wschodzie Europy, kampanilą, milczy dyskretnie, jakby zapomniał o istnieniu i krzykactwie głośnych urzędów propagandy turystycznej na zachodzie.



Na lewo: Figura kamienna Matki Boskiej, znajdująca się przy zworniku sklepienia renesansowego na Rynku, która została obecnie odsłonięta.

To, czego dokonano w ostatnich dwu latach we Lwowie, zasługuje nietylko na jak najszersze omówienie, ale i zapoznania z rezultatem wzorowo wykonanej pracy całej Polski, z której ruszyć powinny ku temu miastu serje popularnych pociągów.

Mozaikę architektury lwowskiego rynku zdobyły przeszłe wieki, od gotyku do empiru, swemi kosztownościami. Natomiast XIX wiek, będący epoką upadku architektury, niszczył i marnotrawił wspaniałe dziedzictwo praojców. Dopiero w XX wieku rządy państwa polskiego i energja prezydenta Drohojowskiego zrehabilitowały współczesność, spełniając szlachetnie swój obowiązek wobec miasta, które obok przydomku: „Semper fidelis", otrzyma dziś nowy: „piękny Lwów".

Znaleźli się ludzie „na swojem miejscu", co zdarza się tak rzadko u nas. Prezydent, który znalazł prawo i wolę w celu przeprowadzenia egzekutywy i artysta-architekt, inż. Marjan Helm-Pirgo, który z wielką znajomością sztuki, potrafił nietylko odsłonić fasady kamienic, ale i wydobyć zakopane w tynku skarby architektonicznych ozdób, jak: figur, karjatyd, gmerków, konsol, rolwerków, gotyckich łuków i wnętrzek z cegły. Do przeprowadzenia, mądrze obmyślanego planu, przystąpiono nietylko z prawnemi edyktami, ale i użyto jakiegoś specjalnie zmobilizowanego i umundurowanego oddziału policji budowlanej, która musiała, zapewne niejednokrotnie, boje staczać z opierającymi się właściciela-



Na prawo: Nowo odsłonięta kamienica Wilczkowska na Rynku należy do najpiękniejszych zabytków architektonicznych Lwowa. Na pierwszym planie studnia Adonisa.



Fasada pięknego domu z końca XVIII wieku przy ulicy Rutowskiego, dawniej Teatralnej.

mi walących się i powodujących katastrofy domów.

Raduje się dziś z dokonanego dzieła przedewszystkiem zasłużony prezes Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa, dyr. dr Aleksander Czołowski, który już od dziesiątek lat modlił się codziennie: „aby Lwów, miasto najświetniejszej historycznej przeszłości w Polsce, mógł odsłonić oblicze swoistej kultury, oblicze starego, dostojnego pana i gospodarza i zrzucić z siebie wreszcie szatę brzydoty".

Frontony domów, które, zapewne, od swego powstania nie oglądały rusztowania, odnowiono całkowicie. Budynki, grożące zawaleniem, zabezpieczono i odpowiednio zremontowano. Śródmieście Lwowa zmieniło swą zewnętrzną szatę, zbliżając to miasto do kultywowanych italskich, jak: Florencji lub Rzymu. Według słusznych zasad urbanistyki nadano staromiejskiej dzielnicy dawny swoisty charakter i wyjęto ją z pod zasięgu nowoczesnego budownictwa. Akcja urzędu nadzoru budowlanego, pod kierunkiem inż. Helm-Pirgo, zmierza do uporządkowania starego Lwowa, jako całości. Prace, przeprowadzone, rozszerzyły się i obejmują niemal już całe jądro śródmieścia.

Oprócz wielu, odsłoniętych w zeszłym roku, renesansowych, barokowych, rokokowych fasad, z których szczególnie piękne są: Kamienica Wenecka, L. 14, Francwenigowska, L. 17, Dąbrowska, L. 21, Zuchorowiczowska, L. 40 i inne, natrafiono w minionym sezonie, w czasie robót rekonstrukcyjnych, na ciekawe szczegóły architektury gotyckiej, a w szczególności na fragmenty pięknie profilowanych łuków i obramień gotyckich w domach pod L. 16 i 28. W domu pod L. 16 szczególną uwagę zwraca ostrołuk gotycki nad renesansowem wejściem. Szczegóły te odsłonięto z dużym wysiłkiem, gdyż dom ów był szczególnie zaniedbany i groził zawaleniem. Na uwagę zasługują odsłonięte kamienne obramienia renesansowe w domach pod L. 26 i 37, przyczem pod L. 26 odsłonięto niezwykle cenną kamienną figurę Matki Boskiej z Dzieciątkiem przy zworniku sklepienia renesansowego. Wyróżnia się również swym charakterem dolna część fasady rokokowej kamienicy Wilczkowskiej. Fasada ozdobiona jest karjatydami, powemi. Ponadto przy ul. Halickiej, która wraz z ul. Krakowską stanowiły główną arterję komunikacyjną dawnego Lwowa, usunięto również wiele obudowań drewnianych dookoła wspaniałego zabytku, jakim jest renesansowa kaplica Boimów, leżąca na Piazzetcie przy katedrze. Również przy ul. Krakowskiej odsłonięto niektóre domy staromiejskie, wśród których zasługują na uwagę: dom pod L. 9, z rzeźbą barokową, przedstawiającą Daniela w lwiej grocie, jakoteż inne godła, jak domu pod Figurami Murzyńskiemi.

Zakrojona na wielką skalę akcja nie poprzestaje na odsłanianiu samych tylko domów patrycjuszy i pałaców. Przez usunięcie gospodarczego budynku na podwórzu konwentu OO. Bernardynów pokazano jedyny w tym rodzaju zabytek: średniowieczne ogromne mury starego Lwowa. Już w ub. roku zburzono częściowo budynki, zasłaniające te mury od ul. Czarnieckiego, odsłaniając je na przestrzeni około 13 metrów.

Dziś, napisana na murach Lwowa historja polskiego patrycjatu, stała się





Fasada barokowego domu w Rynku z pięknemi konsolami balkonowemi. Na lewo: Nowoodkryty ostrołuk gotycki nad wejściem do domu w Rynku.

przedstawiającemi dwu rycerzy, podtrzymujących balkon, co stanowi niezmiernie malowniczy akcent architektoniczny pomiędzy sąsiadujemi renesansowemi kamienicami. Nie poprzestano na odsłonięciu piękna architektury samego Rynku, lecz prace odkrywcze posunęły się już ul. Ruską, Halicką, Krakowską, a nawet Rutowskiego, zwaną dawniej Teatralną. Ciekawym jest narożnik ul. Ruskiej i Serbskiej. W tym domu wydobyto z pod tynku fragmenty gotyckiej architektury, a to część obramienia, wnękę i łuk gotycki, jakoteż fragment dobrze zachowanego muru z cegły gotyckiej. Przy ul. Ruskiej oczyszczono już z dawnej ohydy mieszczańskie domy, z charakterystycznemi kamiennemi skarpami. Przy ul. Rutowskiego, pod L. 10, odsłonięto fasadę z końca XVIII w., z dwiema leżącemi alegorycznemi postaciami i ciekawemi rzeźbami nad otworami sklepowemi.

czytelną dla każdego mieszkańca i obcego turysty. Każdy dom opowiada jasno o swej bujnej przeszłości. Leżące na rozstaju dwu kultur miasto zawsze wypowiadało się za Zachodem. Barwna mozaika stylów fasad patrycjuszowskiego rynku jest dokumentem, którego żaden historyk nie sfałszuje. Lwów, to nie miasto kresowe, lecz odwieczny ośrodek polskiej sztuki i kultury, który od zamierzchłej przeszłości promieniował na Ziemie Grodów Czerwieńskich swą cywilizacją. Lwów, to nietylko polskie serce i szabla, lecz polski mózg i polska artystyczna kultura. Do starych wartości estetycznych przydało współczesne pokolenie nową, a jest nią umiejętne odsłonięcie piękna starego Lwowa. Dokonano wielkiego i radosnego dzieła.

Marjan Dienstl-Dąbrowa.

SERCA W - - TAKCIE 3/4



Jeszcze nie tak dawno temu, jak szaleliśmy za charlestonem. Cóż to był za dziki taniec! prawdziwie murzyńskie łamańce. A jednak tańczyli go dosłownie wszyscy. Inna rzecz, że u wielu wyglądał on na ostatnie stadjum „tańca św. Wita", lub przynajmniej ucieczkę przed atakiem całego stada pcheł. Ale nikt się nie zrażał wyjątkowo trudnemi figurami. Przeciwnie, znalazło się wielu takich, którzy chętnie nie dospali, lub nie dojedli, byleby tylko wyćwiczyć zawiłe pas.

I tak cała Europa, doniedawna niedościgniony wzór dla Nowego Świata, uległa inwazji jego szleństwa tanecznego. To, w czem nawet zwarjowanym Yankesom niebardzo było do twarzy, stało się dla nas, Europejczyków, całkiem naturalną formą emanacji tanecznego temperamentu. Co więcej — początkowa struktura charlestona, odrzucona bardzo szybko przez amerykańskie dancingi, jako zbyt skomplikowana, utrzymywała się na naszych salach balowych przez długi czas w niezmienionej postaci i dopiero powrót foxtrota, któremu nadano wolne tempo (slowfox) oraz renesans walca spowodowały zupełny zanik charlestonomanji. Z dzikiego, murzyńskiego tańca nie pozostał nawet cień estradowego wspomnienia.

Jest to tem dziwniejsze, ile że właśnie charleston jako niezwykle zawiła kompozycja kroków tanecznych był od swych narodzin predestynowany do zajęcia jednego z czołowych miejsc w repertuarze właśnie estradowej, a więc profesjonalnej sztuki choreograficznej. Pod wieloma względami przypominał on słynnego kankana, dziś znowu chętnie tańczonego w teatrach rewjowych i kabaretach. Nas interesuje przedewszystkiem dlatego, że pokazał nam we właściwym momencie — w samą porę ową przepaść, jaka poczęła nas dzielić od prawdziwie estetycznej formy tanecznej, nie tak dawno królującej we wszystkich częściach świata — wiedeńskiego walca.

Poprzez różne onestepy i twostepy doszliśmy wreszcie do charlestona, tej prawdziwej karykatury tańca, która w okresie panowania mody sukien do kolan i chłopięcych fryzur była tą właściwą kropką nad wykoślawionem „i".

I jak na zaciemnionym horyzoncie błyskawica staje się dla nas ostrzeżeniem przed nadciągającą burzą, często przez niejednych w ostatniej chwili zaobserwowaną — tak ów, obcy naszemu smakowi i artystycznemu poczuciu, zwarjowany taniec otworzył nam oczy na głupstwo, jakie popełnialiśmy, tańcząc murzyńskie łamańce, niegodne nóg człowieka rasy białej.

Z powrotem majestatycznych trenów i bujnych loków u kobiet, tak dziwnie nie harmonizujących z wnętrzem i nastrojem dancingu, a świetnie odpowiadających charakterowi sali balowej, pojawił się między nami zapomniany... walc. Początkowo jak prawdziwy intruz, onieśmielony obcem, egzotycznem otoczeniem, krył się zdetronizowany król tańców po domach swych wielbicieli. Idąc wieczorami przez ulice wielkich i małych miast, słyszało się coraz częściej owe uroczne melodje, które naszych ojców porywały do tańca, a dziś z pod uchylonych okien spływały gorącą falą skargi i wyrzutu.

Aż wreszcie nadszedł dzień triumfalnego powrotu z estrady do szarych ludzi codziennego tańca. Umilkły krzykliwe trąbki i saksofony, a w ich niemą pustkę wpłynął porywający śpiew skrzypiec. Na drgające struny położył swe ręce Jan Strauss i w naszych sercach wyczarował wspomnienie dawnych dobrych czasów.

I choć dziś nieraz sprawia nam zadowolenie obserwowanie kankana, polki lub wkońcu tak modnego tańca akrobatycznego w wykonaniu jakiegoś doskonałego zespołu baletowego albo renomowanej pary, powracamy myślą do tej formy tanecznej, która stwarzając mistrzom świetne warunki choreograficznego popisu, otwiera równocześnie przed szarym tłumem tańczących możliwości jaknajbardzej artystycznego wypowiedzenia się w tańcu. Tą formą był, jest i pozostanie wiedeński walc, który jak Feniks odrodził się z popiołów murzyńskiego łamańca, by objąć spowrotem władanie w królestwie wszystkich tańców.

J. L.

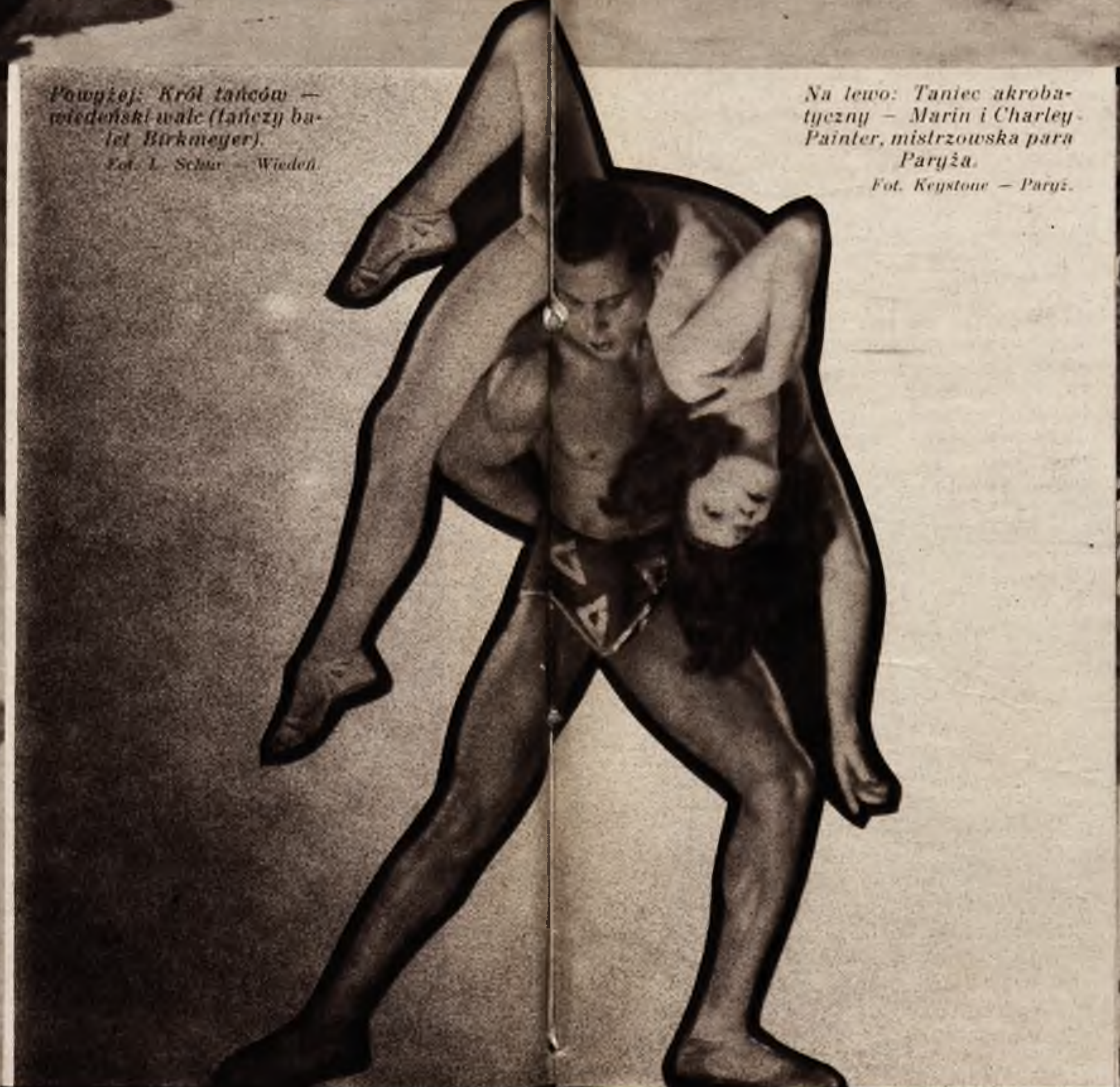
Poniżej: TANIEC ESTRADOWY: Kankan w wykonaniu baletu Birkmeyer.

Fot. L. Schur — Wiedeń

Poniżej: TANIEC LUDOWY: Polka w wykonaniu baletu Birkmeyer

Fot. L. Schur – Wiedeń





Powyżej: Król tańców — wiedeński walc (tańczy balet Birkmeyer).

Fot. L. Schur — Wiedeń.

Na lewo: Taniec akrobatyczny — Marin i Charley Painter, mistrzowska para Paryża.

Fot. Keystone — Paryż.

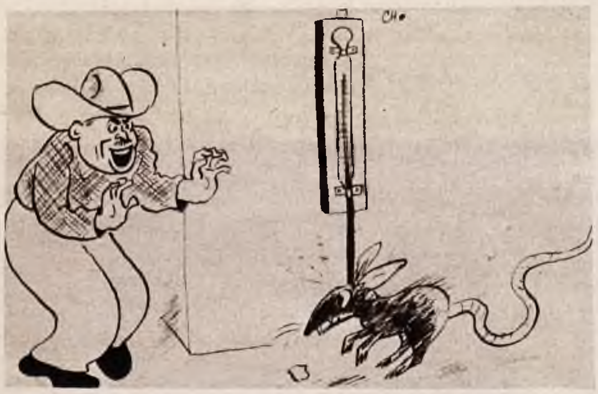


Czy masz bujną fantazję?

KONKURS
na najnieprawdopodobniejsze głupstwo.

Im więcej przykrości zwala się na człowieka, tem chętniej stara się on uciec od rzeczywistości w krainę fantazji, którą sam sobie tworzy. Nic też dziwnego, że w dzisiejszych czasach ta zbawcza fantazja ogarnia coraz szersze koła, przybierając postać wszelkiego rodzaju blagi, począwszy od poważnego kłamstwa, mającego uwydatnić fikcyjne walory człowieka, aż do wesołego „nabierania", będącego, jeżeli jest dobrze opwiedziane, pewnego rodzaju tworem literackim. Czyż potrzeba przypominać jak dobrze nieraz bawiliśmy się, słuchając nieprawdopodobnych opowieści myśliwskich, lub niemniej fantastycznych zwierzeń osób pragnących się pochwalić nieprawdopodobnemi przeżyciami?

Zgrabnie opowiedziany „kawał" jest bezwątpienia rzeczą miłą, a im zręczniejsze znajduje się w nim głupstwo, tem jest zabawniejszy. Nieraz takie opowiadania, ujęte w formę literacką, stworzyły arcydzieła literatury, a przynajmniej bardzo miłe i pocieszne książki. Tak było z opowiadaniami słynnego barona von Münchhausena w Niemczech, we Francji znowu do dziś dnia żyją w podaniach lokalnych, jak również w literaturze wspomnienia o znanym dowcipnisiu XVII wieku hr. de la Palisse, tak jak u nas znów takim słynnym „blagierem" czasów ubiegłych



byli Karol ks. Radziwiłł, zwany „Panie Kochanku" i sienkiewiczowski Zagłoba. Jak silne wrażenie na współczesnych wywoływały ich opowiadania, świadczy fakt, że książę-blagier do dziś stanowi temat dla literatów, a na Litwie niejedną o nim opowiadają dykteryjkę.

Tak, im bardziej nieprawdopodobnym jest „kawał" i im mniej liczy się z przyrodzonemi prawami fizyki, przyrody, czy wszelkiemi innemi, tem jest pocieszniejszy. Redakcja „Asa", licząc się z wrodzonemi „zdolnościami" ludzi wogóle, a „kawalarzy" w szczególe, rozpoczyna w niniejszym numerze „Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo", przedstawione w sposób humorystyczny przez Czytelników. Przypuszczamy, że do startu stanie liczna rzesza „zawodników", a co więcej, że niejeden rodzimy „talent" w tym kierunku zdoła sobie uzyskać ogólne uznanie, o czem zresztą zadecyduje „vox populi", tj. sami Czytelnicy.

Poruszając tak „drażliwą" kwestję, którą jedni nazywają blagą, a jeszcze inni poprostu kłamstwem, musimy dać naszym Czytelnikom pewne wskazówki.

Konkurs obejmować będzie krótkie opowieści, w objętości najwyżej 30 wierszy pisma maszynowego, na temat wydarzeń wszelkiego rodzaju, które jednak muszą odznaczać się nieprawdopodobieństwem i humorem, przyczem koniecznem jest, aby niejako osią opowiadania było nieliczenie się z prawami fizycznemi, matematycznemi, przyrodniczemi, jednem słowem z tem wszystkiem, co można nazwać normalnemi zjawiskami życiowemi w najszerszem tego słowa znaczeniu. Drobne przykłady wyjaśnią treść konkursu:

Oto pewien farmer amerykański od dłuższego czasu chciał pozbyć się złośliwego szczura, który nietylko nadgryzał wiktuały, znajdujące się w spiżarni, ale nie pozwalał mu spokojnie spać. Wszelkie próby złapania szczura okazały się bezskuteczne. Farmer wpadł wkońcu na następujący pomysł: pod wiszącym termometrem, na ścianie, położył kawałek śmierdzącego sera, aby zwabić złośliwego szczura, na którego czekał zaczajony. Gdy szczur począł nadgryzać ser, wydał przeraźliwy okrzyk, który zmroził szczura do szpiku kości, wobec czego rtęć w termometrze przez tę nagłą zmianę temperatury spadła tak gwałtownie, iż rozbiła termometr i spadłszy szczurowi na głowę, zabiła go.





A teraz przypominam sobie niemniej głupawe zdarzenie: Odwiedzam mego znajomego i nie mogę z nim nawiązać normalnej rozmowy, gdyż siedzi w przedpokoju i z niebywałem przejęciem głaszcze piórkiem zegar gazowy. Gdy go się pytam, co to ma znaczyć, odpowiada: „Wybieram się do gazowni i zamierzam prosić dyrektora o obniżenie mi zaległych opłat za gaz. Muszę więc pobudzić go do śmiechu za pośrednictwem zegara". Nieprawdopodobna historja! Takich kawałów znajdzie się tysiące, trzeba tylko umieć je „wyłowić" i odpowiednio opowiedzieć.



Konkurs rozpoczynamy z dniem dzisiejszym. Termin zamknięcia wyznaczamy na dzień 1 lipca b. r. W druku znajdą się tylko te opowiadania, które uzyskają placet jury konkursowego.

Czytelnicy będą głosowali zamieszczonemi przy opowiadaniach kuponami na „króla kawalarzy" i jego dwóch szambelanów. Pierwszy otrzyma nagrodę w kwocie 100 zł., dwaj następni — nagrody po 50 zł. każdy. A więc życzymy Czytelnikom powodzenia w „bujaniu" i czekamy na rezultaty!

REDAKCJA „ASA".



LAUREAT PSIEJ PIĘKNOŚCI



Do żadnej może gałęzi nauki nie weisnęła się tak bezceremonjalnie Pani Moda, jak do dziedziny hodowli psów. Wpływ tej kolorowej Wysokości na popularność poszczególnych psich ras był i jest przemożny. Psy, stanowiące szczególnie podatny pod względem tworzenia odmian materjał, spotyka się dzisiaj w setkach ras, różniących się od siebie pod względem wielkości, owłosienia i barw.

Dzięki cichym zakulisowym pociągnięciom mody wychodzą na szczyty powodzenia niektóre rasy, które staczają się później w przyspieszonem tempie w mroki niepamięci. Zwyczajnie dojście do zbyt wielkiej popularności i rozpowszechnienie, po których zawsze i na każdym terenie opuszcza moda tak przedtem lansowanych pupilów — to główny motyw skazującego wyroku. Tak przeminęły niezwykle popularne przed wojną pudle, zniknęły wogóle wielopodbródkowe mopsy i usunięty został w cień krzyk ostatniej przedwojennej mody męskiej — pies-bokser.

Gruntowna zmiana mody i sylwetki kobiecej musiała zmienić i styl psiej dekoracji. Strój i sylwetka przedwojennej pani, zamiatającej majestatycznie długą suknią ulice miasta, harmonizowały znakomicie z poważnemi ruchami psa bernardyńskiego lub strojnego w barokowe loki pudla.

Nowoczesna jednak, „uproszczona" i wysportowana sylwetka dzisiejszej kobiety, wymagają od psa dostosowania się do zmienionych warunków i przybrania nowoczesnych form. To też foxterjer ostrowłosy, szkocki terjer, cocker-spaniel i cała nowoczesna, a liczna familja terjerów, odbywają obecnie nietylko triumfalny marsz przez stolice mody, ale stały się nawet popularnym motywem zdobniczym. Wszędzie „dernier cri" mody są te psy o nowoczesnym kształcie „opływowym" i osadzone na niskiem „podwoziu".

W ogniu tych przemian ostała się właściwie tylko jedna rasa, która oparła się zębom czasu i nie ucierpiała od kubicznych prądów, nurtujących w psiej hodowli, które wyniosły na szczyty różne psy-tapczany, psy-kanapy.

Rasą tą są — charty.

Mimo starożytnego pochodzenia, gdyż już w wykopaliskach z minionych epok spotyka się szczątki tego wiatronogiego psa, sylwetka jego przypominająca w proporcjach nowoczesne figurki ze szkła, jest nadal, jak przed wiekami wzorem klasycznej piękności i uosobieniem szybkości i siły. Rasowa uroda, smukła sylwetka i naturalna dystynkcja ruchów, czynią z charta psa poszukiwanego przez kobiety.

Ojczyzną charta jest Wschód i olbrzymie bezkresne przestrzenie, na których porusza się ten wyścigowy motor zwierzęcy z szybkością huraganu. To też kocha swego psa „Slougui" Arab-fanatyk szybkości i miłośnik gorącokrwistego konia, uwielbiał go również starożytny Egipt, który swemu bogowi Anubisowi dał charcią głowę. Rzymianie zaprowadzili go do kraju naj-



Młode pieski odnoszą się przyjacielsko do swej wychowawczyni.



Roześmiani przyjaciele...

racjonalniejszej psiej hodowli — Anglji, a wyprawy krzyżowe przyczyniły się do jego rozprzestrzenienia w całej Europie.

W Polsce chart rodzimej rasy należał do rycerskiej trójki zwierzęcej wraz z koniem i sokołem. Typ jego przekazał Juljusz Kossak w swoich obrazach, a zagraniczna nawet literatura wspomina jego niezwykłe zalety. Niestety zaginął tak, jak również ze Wschodu ród wywodząca, słynna rasa polskiego konia.

Epoka polowania z sokołem pozwoliła mu zabłysnąć jego wspaniałemi zdolnościami biegowemi. Rychło dostrzeżono również jego dekoracyjne zalety, dzięki którym został przepisany ze służby w psiarni na etat salonu i buduaru bez zrezygnowania jednak z jego myśliwskich zamiłowań i uzdolnień. W ten sposób ten psi elegant, ozdabiający swoją „osobą" stylowe sale rycerskie i wnoszący jako motyw dekoracyjny wiele uroku, ustalił się w swoich prawach towarzyskich, znajdując dla siebie najpiękniejsze miejsce u stóp rasowej pani na tle płonących kłód drzewa na ozdobnym kominku, mimo, że błyskawiczną swoją karjerę zaczął jako pies do posyłek... za szybkobieżną zwierzyną.

Szczególnie eleganckie polowania „par force" a później wyścigi stały się na długie lata pasją zimnokrwistych Anglików. Miarą olbrzymiego zainteresowania temi psiemi wyścigami są wysokie stawki na totalizatorze i zakłady, dochodzące czasem do ogromnych sum. Szczególnem powodzeniem cieszy się wyścig o Waterloo Cup, który ma w psich wyścigach znaczenie końskiego „Derby". 500 funtów nagrody dla właściciela najszybszego psa i wielki rozgłos dla hodowli, są wystarczającym bodźcem dla Anglików, kochających sport we wszelkich, nawet dziwacznych formach. Kroniki notują jako curiosum swego rodzaju psi rekord. Najsławniejszym psim wyścigowcem był pies-rekordzista Fullerton, który przez 4 lata zrzędu odnosił kolejno same zwycięstwa.



Poniżej: Wypuszczone z farmy młode charty z zapałem rozpoczynają harce.
Na prawo: Z wilczym apetytem, ale zachowując dobre formy towarzyskie, charty czekają na ranny posiłek.







Od lewej: Będąc wielkim łakomczuchem, chart pożywia się w skupieniu kradzioną kością. — Codzienne czesanie charta utrzymuje jedwabistość jego długiej sierści.

Wszystkie zdjęcia Presse-Photo — Berlin.



Na lewo: Czyszczenie zębów uzupełnia ranną toaletę charta.

Odmiennym typem od tego krótkowłosego szybkobiegacza angielskiego, a zarazem najpiękniejszym spośród czterech istniejących odmian chartów, to długowłosy chart syberyjski. Wspaniała sylwetka, bogactwo jedwabnych włosów i szlachetność w linji, czynią z niego najpiękniejszy chyba zwierzęcy motyw dekoracyjny, który może nie obawiać się konkurencji ze strony futurystycznych piesków. Dżentelmeńska powaga i taneczna lekkość ruchów przy klasycznej postaci, pasują go na najstylowszą pointę, podkreślającą subtelnie urodę pięknej pani.

Dr. med. Mieczysław Cena.

JEJ ULUBIEŃCY... Podczas pierwszego spaceru młode charty, nie widząc siatki wokoło siebie, wyrywają się ze smyczy, które dzierży w małych rączkach ich opiekunka. →



OSTATNI PRZEBÓJ „Wesołej Lwowskiej Fali"
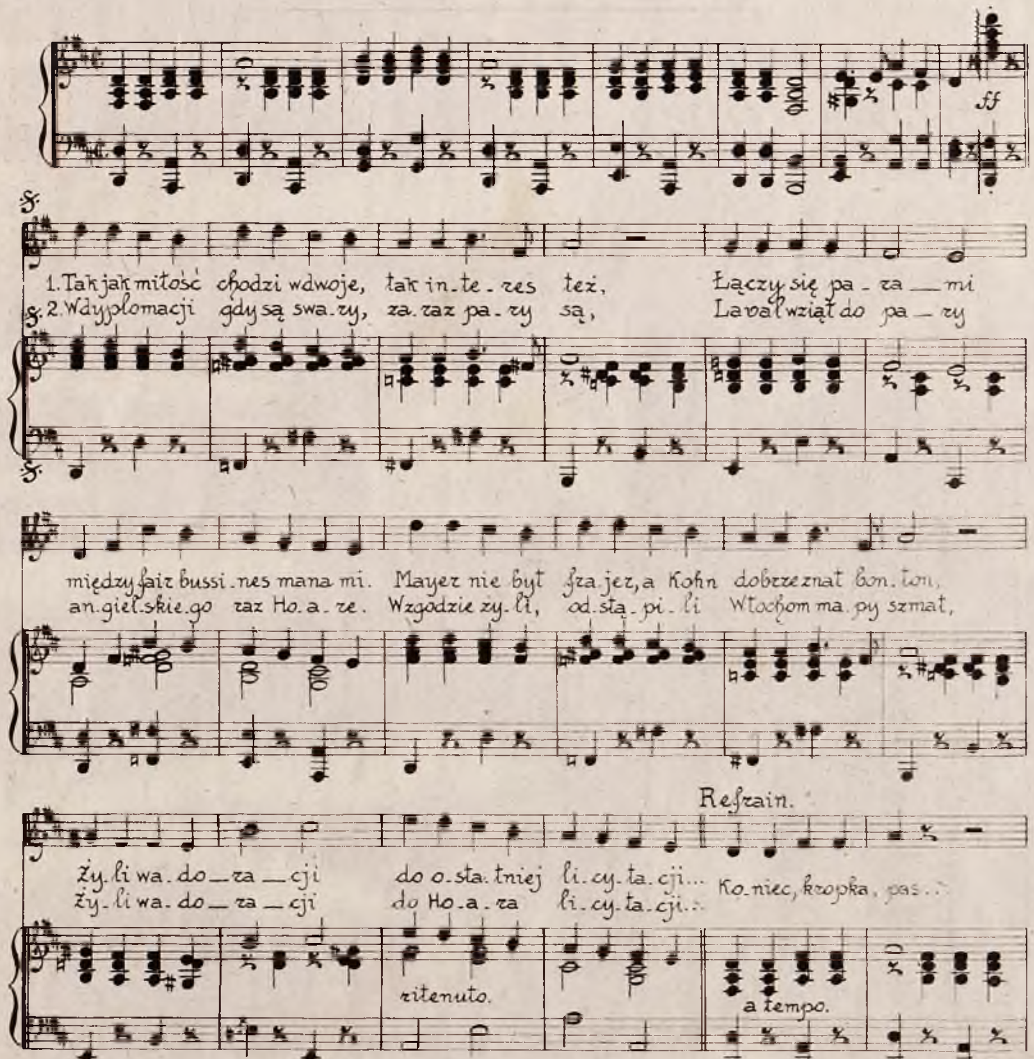


KONIEC ◆ KROPKA ◆ PAS...
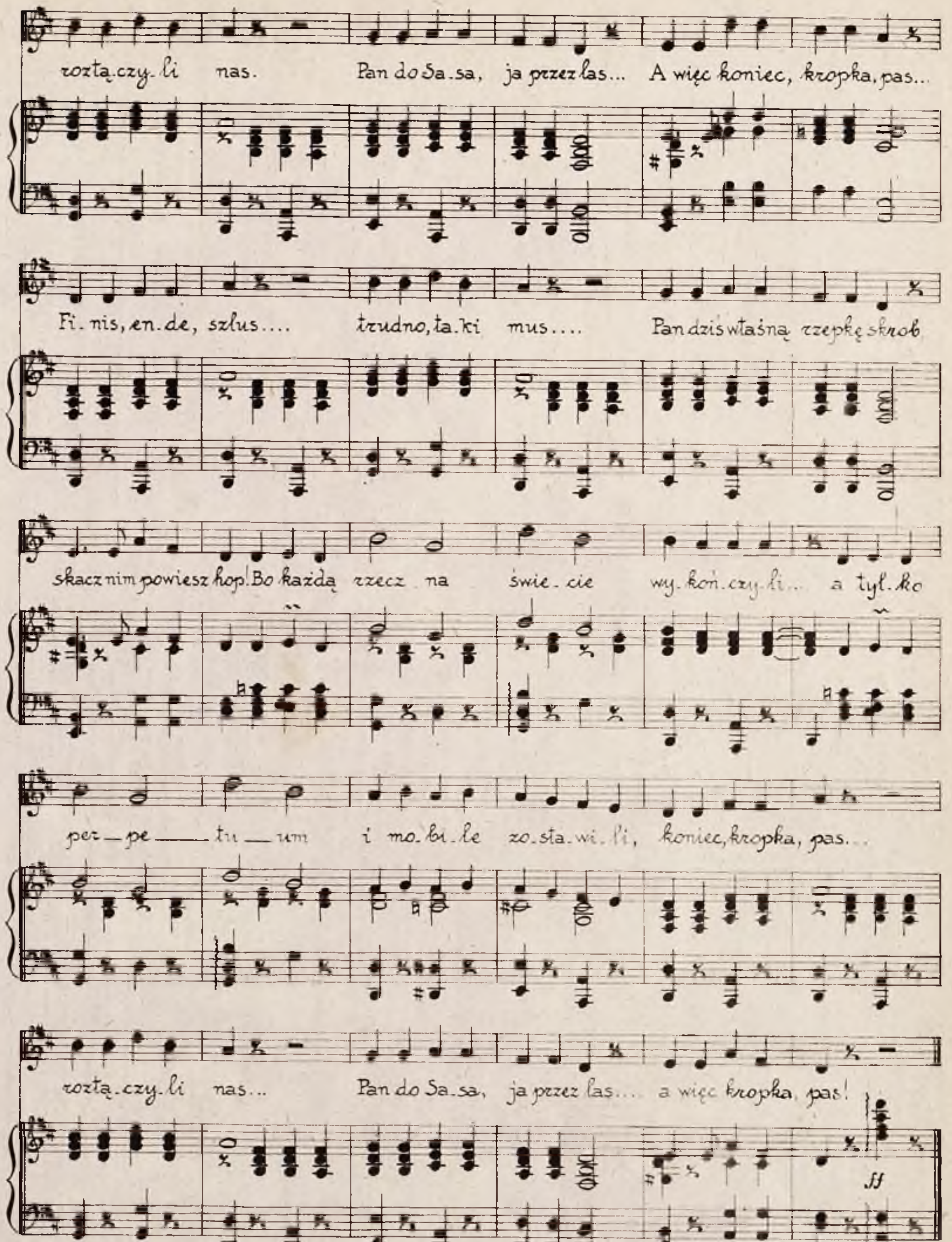
Foxtrot-piosenka

Słowa
Wiktora Budzyńskiego

Muzyka
Alfreda Schütza







◆ COPYRIGHT BY MAGAZINE „AS" 1936 ◆

Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

23-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Przystanął wreszcie przed oknem. I tu doszedłszy do przekonania, że wszelkie dalsze zastanawianie się nad tą kwestją byłoby bezcelowe — i wziąwszy na świadków swej słabości dachy starych domów, kłębiące się jak grzbiety stada owiec pnącego się ku niemu z dołu — Plessoye złożył broń. Czuł, że nie był już panem tego porywu, który nim zawładnął.

* * *

W tej samej chwili Vivant i Le Droz, odwiózłszy do domu Robertę, rozstali się z nią. Młoda kobieta miała na sobie wieczorną toaletę, a oczy zamykały jej się same. Tak bardzo była zmęczoną, że za chwilę, sen zaskoczył ją w wannie, do której weszła, by odświeżyć się po przebawionej nocy.

Jednakże, kiedy pokojówka oznajmiła jej nazwisko gościa, który się zjawił, Roberta ocknęła się natychmiast. Żywo i radośnie, powrócił jej cały smak życia i ochota doń.

— Zaraz wyjdę. — Za małą chwileczkę. — Powiedz to wyraźnie temu panu... I wróć tu — natrzesz mnie... Przynieś mi też najświeższy z moich szlafroków.

Za chwilę, czując na ciele ostrą, ożywczą szorstkość rękawicy kąpielowej, Roberta myślała:

„Już miesiąc z górą, jak nie dał znaku o sobie... Nawet, kiedy odesłałam mu tego Renoira... Czy to dobry, czy zły znak, że przychodzi o tak niezwykłej porze?.... Ale on jest taki zapracowany!... to może nie mieć żadnego szczególnego znaczenia... A jednak... może to coś ważnego, z czem przychodzi?... Jakaś katastrofa polityczna...Może mu jestem do czegoś potrzebna..."

Pochłonięta temi myślami, lecz radosna zarazem, weszła, właściwym sobie, pewnym krokiem do salonu, gdzie oczekiwał na nią Plessoye.

„O, jakaż ona młoda!... Jak kojąco działa!" — pomyślał, ujrzawszy ją — i dziwna trwoga ścisnęła mu serce.

Lecz nie okazał tego; jakieś niespodziane uczucie skrępowania owładnęło nim na myśl o tem, co — uważając to za swój obowiązek — miał zamiar jej powiedzieć. A jednak trzeba zacząć mówić coś — i to natychmiast! Pod grozą, że wyda się jej śmiesznym, albo nieodpowiedzialnym za swe czyny! I ten człowiek, który żywił niesłychaną pogardę dla wszelkiego konwencjonalizmu, zapytał nieledwie nieśmiało:

— Czy nie bardzo przeszkadzam pani o tak wczesnej godzinie?

— Ależ nigdy w życiu! — odrzekła z uśmiechem Roberta. — Wróciłam właśnie z Montmartru.

Niefrasobliwy ton tego wyznania w jednej chwili zdjął z Plessoye pęta, które go krępowały:

— To się musi skończyć! — oświadczył ostro.

W głosie jego zabrzmiał wprawdzie rozkaz, lecz zadźwięczało w nim też coś gorącego, coś tak serdecznego, że Roberta, zadrżała, jakby pod ciepłem pieszczoty...

— O czem... — szepnęła, cofając się. — O czem pan myśli?...

— O życiu, które pani prowadzi. Te noce nieprzespane — te powroty do domu o białym dniu — te wszystkie szaleństwa, które obniżają wartość pani.

Kiedy tylko Robercie zdawało się, iż coś zagraża jej swobodzie — choćby to było słowo tylko, czy spojrzenie czyjeś — w jednej chwili znikała cała jej słodycz i uległość. Stawała się nieprzejednaną, zawziętą wprost. A jednak teraz słuchała z radością — z rozkoszą nieledwie, słów tego człowieka, kiedy robił jej ostre wymówki — zabraniał jednych, a rozkazywał czynić inne rzeczy. Radosne myśli skrzydlatym rojem opadły ją nagle zewsząd.

„Śledzi więc za mną... Wie, co robię — jak żyję... Obchodzę go więc... Wobec tego, czy to, co tu mówi, ma jakieś znaczenie wogóle?... Rzucił oto zajęcia, pracę swą — oderwał się od myśli swych i planów, żeby wglądnąć w to, co robię i jak żyję... I tak mu na tem zależy... Taki się wściekły wydaje...

— Ale skąd pan wie o tem wszystkiem? — zapytała.

— O, bardzo trudno było dowiedzieć się o tem! Banda wasza znana jest nawet najniższym organom policyjnym na Montmartrze i na Montparnassie! Proszę pomyśleć: jest między wami dziennikarz i emigrant polityczny, bratanek byłego ministra sąsiedniego kraju! Jeden, jak drugi posiada, uzupełniany dzień w dzień, arkusz ewidencyjny w prefekturze policji. Podobno nazywają was wszędzie: „Czwórka bigofonistów" — ślicznej się pani doczekała sławy!

— Nic o tem nie wiedziałam... — rzekła niefrasobliwie Roberta.

Lecz uśmiech zamarł na jej wargach. Zobaczyła, że wyraziste usta Plessoye stały się nagle złe, wzgardliwe.

— Pozwolę sobie zapewnić panią, że nie przydaje jej to wdzięku...

I wtedy Roberta poczuła, jak opada w jednej chwili radość, która ją niosła, niby na skrzydłach.

— Ależ... My przecież nie robimy nic złego! — szepnęła, jak skarcone dziecko. — Włóczymy się z jednego lokalu do drugiego — śmiejemy się i cieszymy, słuchając przedziwnej muzyki. Poprostu bawimy się...

I o mało nie rozbroiła tem Plessoye. Żeby móc utrzymać się w pierwotnym tonie swej przemowy, musiał przypomnieć sobie o informacji, której Souffi udzielił mu przed godziną.

— Zabawa, która staje się żerem dla prasy — przestaje być zabawą. To już... ekshibicjonizm! — rzekł twardo. — Pani towarzysze stają się powoli czemś w rodzaju skoczków cyrkowych czy jarmarcznych kuglarzy. A jeśli to, czego dokonali w Hotelu Królewskim, miało na celu zdobycie rozgłosu — to gratuluję! Udało im się nad wszelkie spodziewanie...

Roberta, nawet sama, nie spodziewała się reakcji, jaką wywołają u niej ostatnie słowa Plessoye.

— Wara panu od moich przyjaciół! — zawołała ostro. — Na to, żeby móc sąd wydawać o nich, trzeba ich poznać. Ivan, Le Droz i Ramon — niema na świecie istot lepszych, uczciwszych, ani czystszych. I lepiej, niż ktokolwiek, powinien pan wiedzieć o tem... Kuglarze jarmarczni — skoczkowie cyrkowi nie odtrącają ratunku, który im ofiaruje ręka ministra! — A może to właśnie jest prawdziwym powodem pańskiego wrogiego usposobienia dla nich!

Teraz przyszła kolej na Plessoye; odczuł to samo załamanie woli, tę samą abdykację całej swej natury, które nawiedziły Robertę na początku tej rozmowy. Lecz ponieważ znał siebie samego bez porównania lepiej i nawykły był bardziej niż ona, do śledzenia swych poruszeń wewnętrznych, przeraził się teraz poprostu swych własnych uczuć. Oto on, który drwił z wszystkich słusznych, czy niesłusznych zarzutów, jakie mu czyniła prasa całego świata — uląkł się teraz sądu tej młodej kobiety, tak pokornej i nieśmiałej, kiedy szło o nią samą — a tak agresywnej i niepohamowanej, kiedy zaczepiono jej przyjaciół. Na ławie ministrów nie byłby szukał skwapliwiej argumentów, by odeprzeć groźną interpelację, niż szukał ich w tej chwili, cały drżący i rozgorączkowany na myśl, że Roberta mogłaby przypisać niskie cele i pobudki temu, co robił.

Ona zaś, sławiła dalej cnoty i zalety swych przyjaciół — niby matka, pełna czułości i dumy, kiedy mówi o dzieciach:

— I jest jeszcze coś, o czem pan nie wie, a co tyczy się tych jarmarcznych skoczków i cyrkowców! („Nie przebaczy mi nigdy tych skoczków, cyrkowców!" — pomyślał z rozpaczą Plessoye). Owego dnia, kiedy to odrzucili propozycje pańskie — tego samego ranka — jeden z nich wrócił z lotniska, dokąd jeździł, by wypróbować samolot, na którym mieliśmy, wszyscy czworo, zabić się nazajutrz.

Plessoye zapomniał o wszystkiem: o tem, że miał właśnie usprawiedliwiać się z ciężkich zarzutów — że miał wykazać Robercie, jak szkodliwe skutki mogło mieć dla niej życie, jakie prowadziła — wogóle stracił całe panowanie nad sobą i zawołał:

— I nie wstydzi się pani?! Do tego więc doszło, a nie powiedziała mi pani o tem! — Warjaci! — Zbrodniarze!! — Pociągać panią za sobą w coś podobnego!!!

— Ależ to ja właśnie pociągałam ich za sobą w śmierć! — Ich, nic nie zmuszało do tego! Ivan byłby przecież znalazł jeszcze te trzy tysiące franków, żeby się wykupić. — Le Droz grał tylko, żeby mi dostarczyć pieniędzy, które mi były konieczne — a Ramon nie mógł żyć bez nas dalej... Ci chłopcy, wszyscy trzej oddali mi życie — a pan, pan ich lży i poniewiera!

— Ależ ja o tem wszystkiem nie wiedziałem! — Pani jest niesłychana! — Ta niesprawiedliwość! Robi mi pani zarzut, że nie wiem o czemś, co pani sama ukrywała przedemną!

Wtedy Roberta zaczęła opowiadać. Wyjawiła wszystko: mówiła o tem, jak zastawiła obraz, który do niego należał i o pułapce, w którą wciągnął ją lichwiarz i o czekach Le Droza. Potem o sposobie, jakiego zamierzali użyć, by zejść wspólnie z tego świata — o powrocie Ramona i jego przystaniu do załogi „Samolotu Śmierci, na Łuku Tryumfalnym" — wreszcie o wybawieniu, w postaci wygranej Ramona i o użytku, jaki z niej zrobili.

— A więc — skończyła — czy po tylu i takich przejściach nie wolno nam było pozwolić sobie na tę fantazję, na owej tomboli?

Plessoye nic nie odpowiedział na to. Miał uczucie, że pochwyciła go, porwała i rozkosznie miażdży go jakaś fala młodości, szału-instynktów pierwotnych, których wartość przewyższała niezmiernie zalety rozumu i zimnego rozsądku. Zdawało mu się, że otaczają go szalonym kręgiem zjawy, igrające z ogniem — postacie, pląsające beztrosko na wartko toczącem się kole fortuny, miotające płonącemi strzałami wokoło — jakieś opite boskiem szaleństwem, promieniste istoty!

— Nie wolno przykładać zwykłej miary do dzieci szczęścia — rzekł — tak, jak do dzieci miłości. — Ani sądzić ich.

I wyszedł. Na schodach przystanął i wyrzekł do siebie tonem stanowczym tak, jakby wiązał się tem wobec całej swej wewnętrznej istoty:

— Chcę pozostać wolnym! — Nie wrócę tu więcej!

A w tej samej chwili, w salonie, Roberta, wyczerpana tą sceną, upadła na fotel i szeptała do siebie:

— Skończone... Już nigdy nie zechce widzieć się ze mną...

Wiszące naprzeciw antyczne lustro odesłało jej nagle obraz jej twarzy. Zlękła się — takie zobaczyła na niej ślady zmęczenia i wyniszczenia...

* * *

Przez cały dzień Roberta nadaremnie szukała ukojenia we śnie. Kiedy zbliżył się wieczór, przysposobiła jednakże cocktaile, jak to co dnia czyniła. Utarł się bowiem zwyczaj, iż częstowała nim Ivana i Le Droza, kiedy przychodzili po nią wieczorem, by zabrać ją na obiad. Dnia tego jednak dziennikarz zjawił się sam tylko.



Kiedy zbliżył się wieczór, przysposobiła cocktaile...

— Ivan poszedł do cygańskiego obozu, za dawnemi fortyfikacjami. Powiada, że chce prosić o rękę córki ich króla. Całe szczęście, że papa nie sprzeda córeczki niżej 30.000 franków. — Swoją drogą mógł wybrać inny dzień na te zaloty. Potrzebuję go w ważnej sprawie...

Zawahał się chwilę; zauważył bowiem zmęczenie i wyczerpanie, na twarzy Roberty; lecz mówił dalej:

— Nie mam prawa kryć przed tobą niczego, co dotyczy jednego z naszej czwórki. — Ramon znikł. — Tak jest, znikł i nie zostawił śladu — jednego słowa za sobą... — Wracam właśnie z kliniki. Rana po operacji zabliźniła się, lecz ścięgno zostanie martwe. Na całe życie będzie miał już duży i wskazujący palec obezwładnione... Dla pilota, to ciężki cios... A wiesz, jaki już był przygnębiony, teraz, kiedy odnaleźliśmy go... Gotów jeszcze — gotów... No, krótko mówiąc: jestem niespokojny o niego... Pójdę teraz, obejdę komisarjaty policji —

— Ja z tobą —

— Nie, moja droga — to nie dla ciebie. Wiem, jak tam wygląda... Stawiałem przecież pierwsze moje dziennikarskie kroki w tych norach... Przydałby mi się właśnie Ivan: podzielilibyśmy między siebie dzielnice; prędzej obeszłoby się wszystkie — i prędzej pozbylibyśmy się tego niepokoju... Ramon —

— A może zawieruszył się gdzieś z jakąś kobietą?

— Chciałbym, żeby tak było. Ale czy da się coś przewidzieć z takim warjatem, jak Ramon?

— Gdzie się spotkamy? — zapytała machinalnie Roberta.

— Około północy w... — Albo nie, zatelefonuję ci o wyniku.

— Czemu?

— Wyglądasz bardzo mizernie — jak nigdy jeszcze dotąd... Idź spać — nie wychodź dziś z domu. — Mówię ci całkiem serjo: musisz zerwać z tem życiem.

Roberta uśmiechnęła się boleśnie.

— Po raz drugi, doradza mi ktoś odpoczynek dzisiaj... Plessoye rano — teraz ty...

I powtórzyła mu rozmowę ranną z byłym ministrem, lecz tylko tę część, która tyczyła się jej samej.

— To niema nic jedno do drugiego — rzekł Le Droz. — Plessoye... oczywiście, burżuj... i w imię tej moralności burżujskiej... On nie rozumie... Ale ja, co ci mówię, to z przyjaźni...

— Tak i ja myślę — odrzekła spiesznie Roberta.

I odwróciła się, aby Le Droz nie spostrzegł łez, które zaćmiły jej oczy. Po chwili, już opanowana dodała:

— Idź już, Le Droz. Prędzej uspokoisz mnie co do Ramona...

* * *

Od wielu tygodni po raz pierwszy o tej porze Le Droz znalazł się poza trybami młyna nocnego życia i zabawy — poza działaniem tego dziwnego urzeczenia, które z baru do baru, z restauracji do restauracji — od zespołów jazzowych do bałabajkowych orkiestr, od gitar do harmonij ręcznych, wodziło go noc całą, by nad ranem dopiero zdjąć zeń zaklęcie i wypuścić go, skonanego — przygasłego — zobojętniałego na wszystko. Przytem, puszczał się oto na poszukiwanie zaginionego przyjaciela — i mógł być przygotowany na najgorsze... Przed chwilą widział wyczerpanie i zgnębienie na twarzy Roberty... A do tego jeszcze był sam — Ivana nie było przy nim...

Podczas, gdy Le Droz objeżdżał tak komisarjaty policji, wstępował do Morgi i na posterunki pogotowia ratunkowego, myśli jego — niby wody sztucznego jeziora, kiedy znajdą szczelinę gdzieś w tamie — lunęły nań fala. A myśli te zaiste nie były w niczem podobne do tych, które nawiedzały go ostatniemi czasy. Przyczyniał się do tego jeszcze ponury nastrój poszukiwań, jakim się oddawał i wspomnienia, jakie budziły w nim miejsca, które odwiedzał.

(Ciąg dalszy nastąpi

Moda na nartach



Lubimy przestrzeń! Przestrzeń dla samego oka jest już kojącem lekarstwem... Gdy staniemy w zadumie nad śnieżną dalą, nie wystarcza nam jednak sama kontemplacja przestrzeni, bo taki roziskrzony w słońcu kobierzec woła nas ku sobie, pociąga przemożną siłą i budzi potrzebę pokonywania przestrzeni. Jakże miłą jest przechadzka w zimowy słoneczny dzień!

Ale i to nie wszystko. Wiemy, że wystarczy przypiąć do nóg śmigłe, lotne narty, a poniosą nas lekko i cicho w ośnieżoną dal. A wtedy upaja nas pęd i szybkość, z jaką pochłaniamy przestrzeń i zdrowa, prosta radość pulsuje w żyłach razem z pobudzoną do żywszego krążenia krwią.

Jakże to działa odmładzająco! Wie o tem piękna pani, to też uprawia chętnie narciarski sport. Przeobrażenie sylwetki w męskim stroju daje nową odmianę, czem pani też bynajmniej nie gardzi. Poważny granat, brąz lub czerń kostjumu narciarskiego ożywiają barwne dodatki, które pani umie ładnie z sobą harmonizować, aby czapeczka nie kłóciła się z szalem i rękawicami, a przytem dostosowana była do bluzy, wyglądającej kokieteryjnie z pod rozpiętej kamizelki czy wiatrówki.

Płoną policzki ładnym zdrowym rumieńcem! Oczy błyszczą radością życia! Usta rozchylone w pogodnym uśmiechu!

Wołają nas ośnieżone góry ku sobie. Nie ociągajmy chwili wyjazdu po zdrowie i młodość!

Mewa.

Łamigłówki mody męskiej



W związku z moim artykułem z poprzedniego numeru „Asa", w którym tłumaczyłem, dlaczego smocking musi wyglądać humorystycznie jako balowy strój gentlemana, otrzymałem charakterystyczne dla naszych pojęć uwagi na ten temat od p. A. P. z Łucka. Przytaczam je w wyjątkach:

„Kochany Panie Brummell! W numerze 2 z r. b. zaleca Pan ubieranie na bal lub maskaradę wyłącznie tylko fraka, twierdząc, że smocking w takich wypadkach wyglądać musi humorystycznie. Uważam jednak, że są wypadki, gdy reguła ta musi być nieco odsunięta. Nie będę brał pod uwagę niektórych ubocznych wpływów, które odbijają się na ubiorach (naprzykład demokratyzacja). Chodzi mi o to, że nie każdy mężczyzna może włożyć frak na siebie. Pewnie zauważył Pan nieraz na sali balowej jegomością drobnej budowy, szczupłego i małego wzrostu, ubranego w garnitur frakowy? Jak się Panu taki podoba? Na mnie robi wrażenie pchły. Albo weźmy osobnika wzrostu niżej średniego, tak 160—165 cm. z solidnym brzuszkiem. No? A ten jak się Panu podoba? Karykatura! Tak! Do fraka trzeba mieć odpowiednią budowę. Pomijając, że frak musi być idealnie uszyty, trzeba jeszcze umieć go nosić. Zapewne sam Pan zauważył, że znaczna liczba panów czuje się we fraku jak „krowa pod siodłem", to znaczy, że ubioru tego nosić nie umie. Są tacy którzy, jak to się mówi „śpią we fraku" i dla nich frak jest czemś tak powszednim, jak dla przeciętnego człowieka garnitur roboczy. Do fraka trzeba mieć ruchy spokojne, opanowane, równe i powściągliwe. A weźmy teraz jakiegoś zapalonego boksera, albo kopacza piłki o ruchach energicznych, ale kanciastych, ostrych. W smockingu to razić nie będzie, Ale spróbujmy wcisnąć takiego we frak. Toż przy pierwszym ruchu, jak napnie swoje mięśnie, obcisły frak rozjedzie się na wszystkich szwach... A ruchy takiego osobnika? Komedja! Wymagać zaś, aby wyrzekli się uczęszczania na bale, byłoby absurdem. Biorąc pod uwagę, że sport jest teraz bardzo rozpowszechniony, to można się spodziewać, iż sale balowe świeciłyby pustkami. Sądzę, że zgodzi się Pan ze mną, iż frak nie dla każdego nadaje się i w następnym numerze „Asa" dopuści w wyjątkowych wypadkach smock na salę balową".



Obecnie lansowaną jest moda wzorzystych chust także i do fraków oraz smockingów, przyczem nakryciem głowy pozostaje cylinder lub czarny filcowy kapelusz.

Kochany Panie A. P. z Łucka! Frak był, jest i pewnie długo jeszcze pozostanie jedynym strojem balowym dobrze ubranego gentlemana. Na to niema rady. Ten, kto w ubraniu frakowem wygląda humorystycznie, napewno nie zdobędzie powodzenia w smockingu. Powiedz Pan mistrzowi golfa, który posiada „wzrost niżej średniego" i solidny brzuszek, by zamiast sportowego ubrania, a więc krótkich spodni wdział na siebie spodnie długie, kryjące „dolne niedomagania" jego figury! Wyśmieje się napewno z tej propozycji, wiedząc, że każda okoliczność życiowa musi posiadać swój stosowny odpowiednik w ubraniu.

Brummell.



Na lewo: Oto klasyczny model dwurzędowego smockinga, który mimo wysiłków pronnonsowanych firm krawieckich nie przyjął się w t. zw. towarzystwie.



Poniżej: Komplet spinek smockingowych, wykonanych z onyksu lub galalitu, oprawnego w platynę.

Życie towarzyskie i artystyczne

Konkursy hippiczne w Zakopanem



Pomimo, że zima w bieżącym roku niedopisała w Polsce w tej mierze, co w roku ub., to jednak wszelkiego rodzaju zawody sportowe zgromadziły w Zakopanem, jak zwykle, wielu sportowców i amatorów. Do najbardziej ciekawych imprez należą bezwzględnie konkursy hippiczne, cieszące się zainteresowaniem u szerokich sfer. Na zdjęciu redaktor naczelny „Il. Kuryera Codz." Marjan Dąbrowski w rozmowie z uczestnikami konkursów przed rozegraniem zawodów o nagrodę jego imienia.

Portret Józefa Chlebusa



Piękny portret p. dyr. Wohlowej, pendzla znanego artysty-malarza krakowskiego, Józefa Chlebusa, jedno z ostatnich dzieł artysty, należy do najbardziej udanych jego obrazów, wykazując szczere walory artystyczne.

Gwiazdy na sali balowej



W Londynie zjawiła się ostatnio para znanych aktorów filmowych, Douglas Fairbanks, młodszy oraz Merle Oberon, chcąc wziąść udział w londyńskim karnawale. Oto młodzi artyści na sali balowej.

Z teatru Malickiej



Jedną ze sztuk, cieszących się wielkiem powodzeniem na deskach warszawskiego Teatru Malickiej, była komedja węgierskiego autora Bus Fekete'go „Trafika pani generałowej". Dobrze wyreżyserowana przez K. Bendę odznaczała się przedewszystkiem świetną grą Marji Malickiej i Karola Bendy, którym dzielnie sekundowali pp. Zofja Ordyńska, Kryńska, Kamińska Brokowski, itd. Na zdjęciu scena z pierwszego aktu od lewej: Z Ordyńska (generałowa), Malicka (Gerti) i reż. K. Benda (hrabia).

Na wystawie londyńskiej



W londyńskiem Grosvenor House odbywa się obecnie ciekawa wystawa chińszczyzny, budząc wśród sfer artystycznych jakoteż między zbieraczami żywe zainteresowanie. Królowa angielska będąca również wyznawczynią egzotycznej sztuki chińskiej, zwiedziła spocządku bieżącego miesiąca wystawę, korzystając przytem z objaśnień fachowych młodego angielskiego uczonego. Oto królowa Mary oglądająca bezcenne porcelany chińskie z XVIII wieku, odznaczające się nadwyraz pięknem wykonaniem.



Pani może być czarującą i młodą, jeżeli...

I.
SARI MARITZA.

Korespondentka „Asa" p. Wirginja Vincent zdołała uzyskać interview ze znaną artystką filmową, Sari Maritzą, która dzieli się z pięknemi Czytelniczkami naszego magazynu swemi uwagami.

— — — — — — — — — —

— Cóż mam Pani powiedzieć o piękności? — pyta się urocza Sari Maritza, zawiązując na głowie piękny turban z jedwabiu. Jakiś marzący wyraz wkrada się do jej oczu. Sari Maritza przypomina — wyrażając się poetycznie — tęczę zawieszoną nad górami Szwajcarji lub jakiś bezcenny klejnot schowany przed okiem ludzkiem.

— Uroda nie może iść w parze z tuszą, która pochodzi zwykle ze spożycia dużej ilości wody przy jedzeniu. Przyczynią się do tego również konsumcja większej ilości ziemniaków i chleba. Trochę wyrzeczenia się potraw, które się lubi, a można się utrzymać w „formie". Jeżeli umie się regulować swoje pożywienie i sposób życia, można tak wyglądać jak się chce, chociaż oczywiście osoba niska nie może stać się wysoką i naodwrót. Niewiele też potrzeba, aby utrzymać urodę a nawet uczynić ją taką, jaką się chce. — Pomimo nadwyraz miękkich w spojrzeniu niebieskich oczu Sari Maritzy, jej włosów blond i delikatnych rysów nietrudno się domyśleć, że i ona stoczyła zwycięską walkę z nieprzyjaciółmi swej urody, z którą przyszła na świat.

— Ja np. miałam przykrości z piegami. Nie lubię ich, a ciągle się zjawiały na twarzy. Poczyniwszy najrozmaitsze doświadczenia, wkońcu zdołałam od jednego lekarza europejskiego wydobyć pewien sekret, który polega na tem, że używa się soku z winogron w pewnej porze roku. Smaruje się twarz tym sokiem i po pewnym czasie piegi znikają.

Sari Maritza posiada nadwyraz delikatną skórę, którą czyści mineralnym olejem, gdyż wszelki krem jest dla niej zbyt gęsty i ciężki, a również zatyka pory. Rzęsy jej są — jak można to zauważyć na ekranie — nad wyraz długie, a co najważniejsze, prawdziwe. Znana artystka przyznaje, że urosły one „u niej w domu", a jedynie pewne starania powodują ich wzrost. Tak np. przystrzyga je Sari Maritza małemi nożyczkami, nakłada na nie wazelinę na noc, a rezultat jest wspaniały. Przywilejem urody Sari Maritzy jest to, że piękność jej jest w pełni naturalna i właściwie nie zależy od kosmetyków, a świeżość tej urody każe myśleć o tem, że jest córką Angielki i Wiedeńczyka.

Sari Maritza jest gorącą miłośniczką mody, może dlatego, że tak wspaniale umie nosić wszelkie suknie. W chwili np. kiedy z nią mówię zarzucone ma na ramionach wspaniałe futro z srebrnego lisa, które nosi z wielkopańską nonszalancją. Gdy znowu ubierze się w suknię wieczorową, choćby najbardziej efektowną, postać jej nie posiada ani trochę jakiejkolwiek sztuczności i robi ona wtedy wrażenie, jakby całe życie tylko ubierała się w toalety „od wielkiego dzwonu".

— Należy przygotować przedewszystkiem własny charakter, zanim przygotuje się swoją twarz — kończy Sara Maritza swoje uwagi.

II.
LUCY SZCZEPAŃSKA.

Dostać się za kulisy do Teatru Wielkiego-Opery podczas przedstawienia należy do przedsięwzięć, wymagających dużej dozy, — powiedzmy — wyrobienia politycznego!

Wprawdzie politykiem nie jestem, ale zato kobietą, co na jedno wychodzi. Zmyliwszy więc jedne straże, a drugie przekonawszy potęgą wymowy, znalazłam się wreszcie za niedostępnemi drzwiami.

— Pani Szczepańska ubiera się w dołku — słyszę odpowiedź na moje pytanie.

— Gdzie? W dołku???

— Tak, zaraz tam panią zaprowadzę.

I moje poczciwe „bóstwo" prowadzi mnie przez jakiś korytarz, jeden, potem drugi, — Wreszcie otwierają się drzwi i znajduję się na małej galeryjce, z której prowadzi kilkanaście stopni wdół (stąd w gwarze zakulisowej nazwa „dołek"), do garderoby divy.

Właściwie źle się wyraziłam. Niema tu żadnej wielkiej diwy operowej czy operetkowej. Jest tylko pani Lucy Szczepańska, takasama-Rose Marie w życiu jak i na scenie, prostolinijna, szczera, bez cienia zarozumiałości, czy pozy.

Śpiewa, to takie naturalne — przecież dobry Bóg obdarzył ją takim pięknym głosem. Gdyby nie miała możności śpiewać na scenie, wybiegałaby w pole i śpiewała kwiatom i słońcu. A tu w teatrze śpiewa publiczności, która nazywa ją „Słowikiem Warszawy".

— Ach, proszę pani — mówi z młodzieńczem przejęciem pani Lucy — kocham śpiew, kocham teatr, to jest wszystko, czem żyję. A moim jedynym środkiem kosmetycznym to Rose Marie!

— Czy to może jakiś nowy krem nazwano na pani cześć tem imieniem? — pytam zaciekawiona.

— Ach, cóż znowu — śmieje się pani Lucy, rada, że mnie „wzięła na kawał". Rose Marie, jako operetka, tak mi dobrze służy. Śpiewam w niej już pięćdziesiąty raz. Poświęciłam dla niej wakacje i urlop.

Narazie nic więcej nie robię. Myję się mydłem i wodą, nie sypiam wiele, bo nie mam czasu, jadam normalnie. Przecież nam, śpiewaczkom operowym, nie wolno nawet uprawiać sportów ze względu na osłabienie serca i z obawy na łatwość przeziębienia gardła. A jabym tak skakała przez płotki, rzucała dyskiem czy jak tam... Całe szczęście, że mam bodaj te schodki w garderobie. Jak tak przebiegnę przez nie kilkadziesiąt razy dziennie...

Antrakt się kończy. A więc jeszcze prędko proszę o fotografję.

Dzwonek! Pani Lucy jest już na galeryjce. **Zofja Ordyńska.**

Poniżej: Lucy Szczepańska, urocza „Rose Marie".



SYMFONJA BIAŁYCH PIÓR...
Sari Maritza w wiedeńskim filmie Paramounta „Evenings for Sale".



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

Czyniąc zadość życzeniom naszych Czytelniczek, podawać będziemy od czasu do czasu przepisy djetetyczne, wedle których sporządzać należy pożywienie w specjalnych wypadkach niedomagań chorobowych, regulując je zresztą na podstawie wskazań lekarskich, zalecających w poszczególnych wypadkach odpowiednie składniki odżywcze i ich właściwą ilość dzienną. Kuchnia djetetyczna reguluje stosunek składników pożywienia, na czem właśnie polega jej lecznicze znaczenie.

Zamieszczone dziś przepisy ujęte w ilościach na jedną osobę, pomyślane są dla chorych na nieżyt żołądka.

BUDYŃ CIELĘCY. 5 dkg cielęciny mielonej, 1 jajko, 4 dkg masła, 2 dkg bułeczki tartej. Żółtko utrzeć z 3 dkg masła i wymieszać z cielęciną. Ubić pianę z białka i łączyć ją z cielęciną, przesypując masę niedużą ilością bułeczki. Włożyć w formę budyniową, wysmarowaną pozostałem masłem i wysypaną bułeczką i gotować pół godziny. Solić dowolnie.

BUDYŃ JARZYNOWY. 15 dkg różnych jarzyn jak: marchewki, pietruszki, selera, pora, kapusty włoskiej. Jedno jajko, 4 dkg masła, 2 dkg bułeczki tartej. Jarzyny obrać, utrzeć drobno na tarce. Oddzielnie ukręcić dobrze żółtko z masłem, połączyć jarzyny z żółtkiem i dobrze wymieszać. Posolić do smaku. Z białka ubić pianę i połączyć z masą, przesypując bułeczką. Włożyć do formy budyniowej dobrze wymieszaną masę (formę wysmarować masłem i wysypać bułeczką) i gotować pół godziny. Polać sosem śmietanowym.

SZNYCEL CIELĘCY Z PARMEZANEM. 10—15 dkg sznycelówki cielęcej, 1 dkg mąki, 2 dkg masła, 3 dkg parmezanu, 1/4 litra śmietany. Sznycelówkę ładnie uformować na kotlet, posolić, otoczyć w mące i smażyć na rozpalonem maśle. Gdy sznycel obrumieni się z obu stron, zalać śmietaną i posypać parmezanem.

MÓŻDŻEK W MUSZELKACH. 10 dkg móżdżku, na zasmażkę: 1 dkg masła, ½ dkg mąki, 1 dkg cebuli utartej, dalej 1 żółtko oraz do polania: 1 dkg bułki tartej i 2 dkg masła. Móżdżek obrać z błon, obgotować w wodzie z octem, pokrajać w kostkę i wrzucić na zasmażkę, rozprowadzić rosołem i zaciągnąć żółtkiem. Włożyć móżdżek na muszelki, polać masłem zrumienionem z bułeczką i wstawić do pieca. Wyjąć aż zrumieni się.

KASZKA PSZENNA Z JABŁKAMI. 2 dkg kaszki pszennej, 1 spore jabłko, 1—1½ dkg cukru, 1/8 litra mleka, kawałeczek wanilji. Kaszkę ugotować na mleku z cukrem i wanilją, połączyć z jabłkiem upieczonem w piecyku i przetartem. Dobrze wymieszać i posypać cukrem kryształowym.

ZUPA BRUKSELSKA. Smak z włoszczyzny, kości lub boczku wędzonego, 10 dkg kapusty świeżej brukselskiej, 1/8 litra śmietany. Kapustę sparzyć i ugotować na przecedzonym smaku. Część drobnych główek zostawić, zaś resztę przetrzeć, a zostawioną kapustę wrzucić do przetartej zupy. Zaprawić zupę śmietaną i podawać z grzankami.

MUS Z JABŁEK. 1 duże jabłko upieczone i przetarte, 1 białko, 2 dkg cukru pudru lub drobnego kryształu. Do upieczonego i przetartego jabłka włożyć 1 białko i wszystek cukier. Ucierać aż masa spulchnieje. Można mus podawać ubrany kruchemi ciastkami, waflami lub biszkoptami.

JAJECZNIAK. 2 jajka, 1/4 szklanki mleka, 2 dkg masła, sól. W gorącem mleku rozpuścić masło, wymieszać z jajami, wlać do rondelka i smażyć na parze (uprzednio rondelek przykryć pokrywką). Trzymać na parze 20 minut (jeśli w chorobie dozwolone jest masła więcej, można jajeczniak smażyć tak jak naleśnik, to znaczy podłożywszy na rondelek masła). Podawać z jarzynami jak: szpinak, jarmuż i t. d.

ZUPA SELEROWA. Smak z włoszczyzny, 7 dkg selerów, 7 dkg ziemniaków, 3 dkg masła. Do ugotowanego smaku z włoszczyzny wrzucić surowe pokrajane w kosteczkę selery i ziemniaki. Gdy będą miękkie, wyjąć je wraz z włoszczyzną z zupy i przetrzeć przez drobne siteczko. Masę przetartą włożyć spowrotem do zupy. Posolić do smaku, dodać masła. Podawać z grzankami.

SZYNKA W OMLECIE SOUFLÉ. 1 plasterek szynki grubo krajanej, 1 jajko, 2 dkg mąki, tłuszcz do smażenia. Białko ubić na stojącą pianę, dodać żółtko i dalej ubijać posypując mąką. W cieście tem zamoczyć szynkę i smażyć. Podawać z sałatami.

SUFLET POMARAŃCZOWY (przepis na 6 osób). 1 pomarańcza, 20 dkg cukru, 4 łyżki wody, 2 jaja, 4 białka. Przyrządzić syrop z 20 dkg cukru i 4 łyżek wody. Do syropu wcisnąć sok z pomarańczy i wsypać utartą skórkę pomarańczową. Ochłodzić i wbić do syropu 2 żółtka. Wszystko razem dobrze ucierać, gdy zgęstnieje i zbieleje dodać pianę z białek. Wstawić do letniego pieca i zapiec na kolor złoty.

GRZANKI W SOSIE POMIDOROWYM: 10 dkg. bułki, 1 jajko, ½ szklanki mleka, 5 dkg. bułki tartej, sól. Zamoczyć grzanki w mleku, opanierować w bułeczce i obsmażyć z dwóch stron. Sos pomidorowy, 4 duże pomidory udusić (4 łyżki purée pomidorowego) rozbić w szklance gorącej wody, włożyć masła wielkości włoskiego orzecha, zagotować i zaprawić mąką. Dla smaku usiekać drobno pietruszki lub koperku zielonego. Polać tem gorące grzanki.

NALEŚNIKI Z MARMELADKĄ Z JABŁEK: 1/4 szklanki mleka, 1 żółtko, 2 łyżki mąki, piana z 1 białka, kawałeczek świeżej słoniny, marmelada z jabłek lub powidła, cukier, 1 żółtko rozbić w mleku, dodawać pianę, przesypując mąką. Gdy ciasto będzie lejące, wysmarować patelnię kawałkiem słoniny, lać na rozpaloną patelnię ciasto tak, aby utworzyło cienką warstwę. Osmażyć z obu stron. Posmarować naleśnik marmeladą, złożyć na cztery części i jeszcze raz obsmażyć. Podawać ciepłe, posypane cukrem.

KASZKA ZAPIEKANA Z JARZYNAMI: 6 dkg. kaszki (najlepiej perłowej), 2 łyżeczki masła, 15 dkg. różnych jarzyn (pietruszka, marchewka, por.). Kaszkę ugotować na sypko z łyżeczką masła. Osobno w drugiej łyżeczce masła poddusić jarzynki, lekko osolić. Gdy kasza miękka, przekładać warstwami naprzemian raz kaszę, raz jarzynki, rondelek wysmarowany masłem i zapiec. Podawać z sosami: pomidorowym i grzybowym.

ZUPA KALAFIOROWA: Smak z włoszczyzny, 1 kalafior świeży lub z Wecka, 2 łyżki śmietany, 1 dkg. mąki. Ugotować smak z włoszczyzny. Gdy miękka, przetrzeć ją i do przetartego smaku dodać kalafior osobno ugotowany. (Jeżeli zupa jest rzadka, to można ją zaprawić 1 dkg. mąki i zagotować). Wlać śmietanę i przestać gotować. Posolić do smaku i podawać z kluseczkami.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 5 — **Styczeń** — Dni 31
Niedziela **26** Pauliny	Zupa selerowa z grzankami. Szynka w omlecie souflé. Budyń cielęcy z sosem śmietanowym. Rizotto. Suflet pomarańczowy. <u>Kolacja</u>: Krokiety z móżdżku z grzankami.
Poniedziałek **27** Jana Złot.	Zupa kminkowa z kluseczkami naleśnikowemi. Kura w potrawce z kaszą perłową. Kisiel cytrynowy. <u>Kolacja</u>: Budyń jarzynowy z sosem śmietanowym. Sucharki.
Wtorek **28** Karola W.	Zupa ryżowa. Sznycel cielęcy z parmezanem. Kapusta brukselska. Purée ziemniaczane. Naleśniki z marmoladką z jabłek. <u>Kolacja</u>: Kaszka zapiekana z jarzynami.
Środa **29** Franciszka Sal.	Zupa kalafiorowa. Móżdżek zapiekany w muszelkach ze szpinakiem. Krem pomarańczowy. <u>Kolacja</u>: Bliny z konfiturami.
Czwartek **30** Martyny, Adelajd.	Zupa neapolitańska. Cielęcina z cytryną. Marchewka. Kartofelki frittes. Kaszka pszenna z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Grzanki w sosie pomidorowym.
Piątek **31** Piotra z Noli	Zupa brukselska ze śmietaną. Ryba z wody z masłem. Jarmuż. Jabłka z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Budyń z kalafiorów. ☽
Sobota **1** [...]nacego bisk.	**Luty** — Dni 29 — Zupa Julienne. Pierożki z mięsa zapiekane z sosem beszamelowym. Kapusta włoska na sposób kalafiora. Mus z jabłek. <u>Kolacja</u>: Jajeczniak z sałatą endywią.

pasta do zębów KLOROMINT piękne białe zęby świeży oddech


CHARLIE
MIŚ i ZDZIŚ
przygody dwóch młodzieńców
7. MIŚ i ZDZIŚ w SZPONACH „GESTAPO"
1
MIŚ: PIĘKNY JEST BERLIN, ALE NUDNY...
ZDZIŚ: UCHARAKTERYZUJMY SIĘ NA ŻYDÓW i ZOBACZYMY, CO Z TEGO WYNIKNIE...
2.
MIŚ: PATRZ! WPROST NA NAS SUNIE UROCZA NIEWIASTA!
ZDZIŚ: ACH!
3.
KOBIETA: PANOWIE POZWOLĄ, ŻE USIĄDĘ?
ZDZIŚ: Z ROZKOSZĄ, O PIĘKNA PANI!...
4
KOBIETA: MOŻE PANOWIE MNIE ODWIEDZĄ? U MNIE BĘDZIECIE SIĘ CZULI ZUPEŁNIE NIESKRĘPOWANI...
MIŚ: ALEŻ NATURALNIE, CHĘTNIE SKORZYSTAMY Z ZAPROSZENIA!
5
MIŚ: CUDOWNĄ SPĘDZILIŚMY NOC...
KOBIETA: NIE RUSZAĆ SIĘ Z MIEJSCA! JESTEM AGENTKĄ GESTAPO; OSKARŻAM WAS O SHAŃBIENIE RASY!!...
6
KOMISARZ GESTAPO: 10 LAT WIĘZIENIA ZA SHAŃBIENIE RASY!
MIŚ i ZDZIŚ: A KUKU!!..
CHARLIE

To warto poznać...

NA SCENIE.

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie gra obecnie z dużem powodzeniem, zwłaszcza u młodzieży i dzieci, barwną bajkę **Maurycego Maeterlincka „Niebieski ptak"**. Sztukę tę dyr. Frycz wystawił w Krakowie po raz pierwszy, opracowując stronę dekoracyjną i kostjumową, szkicując równocześnie pomysł inscenizacji. Oglądając „Niebieskiego ptaka" na scenie krakowskiej podziwialiśmy artyzm dyr. Frycza i bawiliśmy się, przeżywaliśmy rozliczne wzruszenia wraz z młodocianą widownią. Ale równocześnie doznaliśmy poważnego zawodu. Okazało się, że utwór Maeterlincka przez wielu historyków literatury, zwłaszcza romanistów i krytyków został stanowczo przereklamowany. Był niewątpliwie ciekawym utworem w epoce symbolizmu, ale bynajmniej jego symbole nie są głębokie. Dziś utwór ten wyblakł zupełnie i jedynie wartości artystyczne i literackie może mu nadać piękno i przepych teatralnej inscenizacji.

Oprawa malarska i kostjumowa dyr. Frycza w kilku obrazach jest znakomita, zwłaszcza przepiękny, głęboki i subtelny w swym artyzmie jest obraz „W krainie przeszłości". Reżyserja W. Radulskiego niestety nie dostosowała się do pomysłu inscenizacyjnego prof. Frycza, choć była pracowita i staranna. Cały zespół gra bardzo dobrze i z trudności, jakie na barki aktorów rzuca konieczność ożywienia groteskowych postaci psa, kota, cukru, czy topoli, wywiązuje się doskonale. Dwie główne role w dramacie dzieci grają naprawdę znakomicie „prawdziwe" dzieci: Zosia Więcławówna (Jaś) i Ewunia Kołogórska (Małgosia). Obie mają bardzo dużo szczerości i swobody scenicznej. Z artystów sceny krakowskiej na czoło licznego zespołu wysunęli się świetną groteskową grą Fabisiak (chleb), M. Węgrzyn (pies) i Kondrat (kot). Dużo poezji (której zresztą bardzo mało w utworze Maeterlincka — może to wada małopoetyckiego przekładu) i sugestywnej mocy wniosła na scenę M. Bednarska jako noc. Dobre charakterystyczne epizody dali: J. Wernicz (wróżka) i S. Turski (dziadek). **(swb).**

NOWE KSIĄŻKI.

Książką, o której najgłośniej obecnie w prasie polskiej, którą nietylko warto, ale należy przeczytać, są **„Strzępy meldunków"** gen. **Sławoj-Składkowskiego.** Jest to pamiętnik autora, spisujący wiernie wiele epizodów z życia i śmierci Marsz. Piłsudskiego, zawierający mnóstwo autentycznych sądów i powiedzeń Wodza Narodu. Z książki tej lepiej poznamy jego duszę, serce i czyny, aniżeli z najszczegółowszych biografij.

Kazimiera Iłłakowiczówna odpisując na ankietę „Prosto z mostu", jaką najciekawszą książkę przeczytała w r. 1935, bez wahania podaje, że „Strzępy meldunków", które wprawdzie w założeniu swem nie mają żadnych intencyj literackich, ale w wykonaniu mogą służyć jako przykład, jak należy traktować podobny temat. „Postawa wobec tematu jest powzięta z taką szczerością, z taką prawdą, z taką czcią, że stawia odrazu całą książkę na niezmiernie wysokim poziomie, na którym styl, kompozycja, słownictwo — aczkolwiek oczywiście są bez zarzutu — mniej już czytelnika obchodzą. Jest coś w miłości gorącej, która bije z książki, a powściągnięta jest do końca żelazną ręką, tak wzruszającego, że poza czysto ludzkiem zwykłem uczuciem współżalu, współsmutku, budzi jeszcze najwyższej klasy wzruszenia artystyczne". — Iłłakowiczówna słusznie uważa tę książkę nietylko za najciekawszą, ale i za niezwykle piękną. — Warto dodać, że „Strzępy meldunków" wysunięte zostały przez jury jako dzieło warte „nagrody literackiej niezależnych", ustanowionej przez „Wiadomości Literackie".

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 26. I.

12.15: Poranek symfoniczny.
14.00: „Róża czy Ewelina" — fragment z powieści M. Kuncewiczowej.
16.00: „Samowar znowu się odzywa" — opowiadanie dla dzieci.
16.15: Tańce i melodje hiszpańskie.
18.00: „Historja o żołnierzu" C. F. Ramuz'a — słuchowisko.
20.00: Arje i duety operowe i operetkowe.
21.30: „Kajakiem przez pustynię Syrji" — feljeton z cyklu „Podróżujmy".
22.00: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 27. I.

12.15: Koncert Małej Orkiestry P. R.
15.30: Tadeusz Olsza w swoim repertuarze.
16.15: Muzyka salonowa.
16.45: „Eureka" — skecz.
17.00: Przeszkolenie gospodarcze kobiet — pogadanka.
17.20: Recital śpiewaczy Cecylji Węgrzynowskiej.
20.00: Nasza marynarka gra — koncert.
21.00: Koncert symfoniczny.
22.00: „Zapomniany poeta warszawski" — Felicjan Faleński — wieczór literacki.
22.30: Muzyka taneczna.

Wtorek, 28. I.

12.15: „Kolendy i piosenki" — audycja dla szkół.
12.30: Koncert orkiestry Adama Furmańskiego.
15.30: Muzyka salonowa.
16.15: Piosenki w wykonaniu Janiny Brochwiczówny.
17.00: „Szkło i porcelana" — odczyt z cyklu „Wielkie i drobne wynalazki".
17.15: Muzyka lekka.
18.30: „Paweł Bourget i jego dzisiejsi następcy" — szkic literacki.
20.00: Koncert symfoniczny z Katowic.
22.30: „Zdobycze chemji w dziedzinie sztucznego otrzymywania witaminów" — odczyt dla lekarzy.
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 29. I.

12.20: Muzyka.
15.15: Wiadomości o eksporcie polskim.
15.30: Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
16.05: „Małpka Makakinjo" — opowiadanie dla dzieci.
16.20: Koncert chóru męskiego „Echo".
16.45: Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja.
17.00: Młodzież mówi o sobie — dyskusja nieprzygotowana.
17.20: Recital śpiewaczy prof. Pawła Lohmana.
18.55: Poznajmy przepisy finansowo-rolne.
20.00: Muzyka.
21.00: Twórczość Fryderyka Chopina — XXII audycja z radjowego cyklu.
21.50: „O sklepach fabrycznych" — pogadanka dla kupców.

Czwartek, 30. I.

12.15: Poranek dla młodzieży szkół powszechnych.
13.00: Sonata B-Dur — Mozarta.
15.30: Muzyka lekko.
16.00: Gadanina Starego Doktora.
16.15: Nastrojowe piosenki i melodje.
17.15: Koncert w wykonaniu Tria Salonowego.
17.50: „Chateaubriand" — O książce Zdziechowskiego.
18.00: Kompozycje fortepianowe Jana Brahmsa.
18.30: Film, plastyka, architektura.
20.00: „Powieść akustyczna" — obrazki karnawałowe.
20.55: Odrodzony teatr antyczny — pogadanka z Wilna.
21.00: „Król Edyp" — Sofoklesa — słuchowisko.
21.35: Recital śpiewaczy Marji Maksakowej.
22.00: Koncert symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna.

Piątek, 31. I.

12.40: Koncert w wykonaniu zespołu Haliny Adamskiej.
15.30: Koncert zespołu „Kaskada".
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.45: Zygmuś prezesem samorządu — pogadanka dla dzieci.
17.20: Canzonetty i arje operowe starych mistrzów belcanta z XVI, XVII i XVIII wieku.
19.50: Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R.
20.10: „Goplana", opera Żeleńskiego — transmisja z Teatru Wielkiego.
23.20: Muzyka taneczna.

Sobota, 1. II.

12.25: Koncert orkiestry kameralnej.
13.00: Drobne utwory polskich kompozytorów.
15.00: „Żona kamienna" — klechda Artura Górskiego.
15.15: Nasz handel morski.
15.30: Muzyka lekka.
16.15: „Muzykantom wstęp wzbroniony" — słuchowisko dla dzieci.
17.00: Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy.
17.50: Sergjusz Rachmaninow jako kompozytor i odtwórca.
20.00: Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R.
21.30: „Wesoła Syrena".
22.00: Wieczór operetkowy.
23.05: Muzyka taneczna.

Odpowiedzi Redakcji

„THE LIFE" — TUREK. Przyjmujemy do druku także niezamówione nowele, o ile te, rzecz oczywista, posiadają wartość literacką.

P. OLEŃKA KOSTRZEWSKA — PRZEMYŚL. W sporcie pływackim trudno o estetyczny wygląd. To samo powiedzieć można o lekkiej atletyce i grach sportowych. W tych bowiem gałęziach sportu już sam strój standartowy uniemożliwia sportsmence bardziej oryginalne wypowiedzenie się w doborze odpowiednich części ubioru. Wybór nasz padł słusznie na te działy sportu, w których zwraca się główną uwagę właśnie na estetyczny wygląd sportsmenki.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.